

Tam polskie próchnieją kości...

Wspomnienia z Syberii Stefana Osuchowskiego, zesłańca politycznego

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie.
I więzień nam niewolę najlepiej opowie:
Wyda na jaw spod ziemi i spod straży zbirów
Dzieje swe, dzieje wszystkich polski bohaterów,
Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach;
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach.

Adam Mickiewicz, *Dziady*, część III,
scena VII *Salon Warszawski*

Bracia rocznica, więc po zwyczaju
niech każdy toastem spłaci.
/Ten pierwszy puchar święcim dla kraju,
drugi za ległych współbraci. /bis

A teraz basta, basta panowie,
niech każdy w miejscu zasiądzie.
/Dajcie gitarę. – Wino już w głowie,
a więc i piosnka wnet będzie./bis

O! Nie zginęła jeszcze Ojczyzna,
Póki niewiasty tam czują,
/bo z ich to serca płynie trucizna,
którą wrogowie się trują./bis

Jeszcze wykarmią one w zaciszy
grono olbrzymie młodzieży.
/Od nich pachole o nas usłyszy
i jak my w wolność uwierzy./bis

Ludwik Orpiszewski, *Bracia, rocznica*
autor pieśni był emigrantem 1831 roku, w Dreźnie

I. Cytadela. Wyjazd z Warszawy

Gdy około północy 11 lipca 1909 roku, po 10 dniach rozprawy sądowej w Cytadeli Warszawskiej¹ zapadł wyrok, skazujący mnie na dożywotnie zesłanie na Sybir, przyjąłem je z zadowoleniem: tak łagodnego wyroku nie spodziewałem się wcale. Prosiłem adwokata, aby nie starał się o zamianę zesłania na więzienie. Gdy z Cytadeli przewieziono nas do Arsenалу na Długiej, prosiłem żonę na widzeniu, aby – o ile możliwości – starała się przyspieszyć moją wysyłkę. Pragnąłem jak najprędzej opuścić mury więzienne, wyrwać się na wolne powietrze.

Wprawdzie w więzieniach nie miałem źle, narzekać nie mogłem. Od władz więziennych i dozorców szczególnych szykan i przykrości nie doznawałem, z towarzyszami niedoli w wspólnych celach więziennych byłem w mniej lub więcej dobrych stosunkach. Żyłem, jak na więzienne warunki, stosunkowo dostatnio, wałówkę² dostawałem regularnie w dostatecznej ilości, jedzenia więziennego zazwyczaj nie brałem.

Wyjątek stanowił X Pawilon Cytadeli. Życie tam było podłe, a wałówkę puszczano rzadko i tylko w ustalone dni.

Byłem wybredny w jedzeniu. Prawdziwej biedy jeszcze nie znałem. Na Syberii, a w szczególności podczas ostatnich lat przy bolszewikach, głód nauczył mnie jeść wszystko, co dawało, choć trochę

¹ W dniu 2 lipca 1909 roku rozpoczął się przed sądem wojennym w Cytadeli Warszawskiej wielki proces 33 towarzyszy – w liczbie, których i ja się znajdowałem – oskarżonych o należenie do Włocławskiego Okręgu Polskiej Partii Socjalistycznej Frakcji Rewolucyjnej, prowadzenie agitacji antyrządowej, posiadanie olbrzymiego, tajnego składu broni oraz o dokonanie wielu aktów terrorystycznych, a mianowicie wielu mordów politycznych i napałów na rządowe sklepy monopolowe. Sąd skazał na śmierć na szubienicy pięciu towarzyszy oraz prowokatora Borowskiego, na katorgę od 4 do 15 lat – dwunastu towarzyszy, oraz na osiedlenie „w oddalonych miejscowościach Syberii” mnie i towarzyszy Kodymowskiego i Matuszczaka. Pozostałych towarzyszy uniewinniono. Zawdzięczając staraniom znacznych obrońców naszych z mecenasem Karolem Patkiem na czele, wszystkim skazanym na szubienicę towarzyszom kara śmierci została zamieniona bądź na długoterminową (dwudziestoletnią), bądź na dożywotnią katorgę. W mojej obronie występowali mecenasi Popowski i Papieski.

² Wałówka w języku więziennym znaczy wszystko, co więzień otrzymuje od rodziny lub osób obcych, zamieszkałych poza murami więziennymi (czyli za wałami), jak to: produkty spożywcze, tytoń i papierosy, bieliznę itp.

pożywienia: prażoną wykę bez okras, kapuśniak na końskim mięsie, rozgotowane otręby na wodzie.... Ale wtedy, w Cytadeli Warszawskiej miałem jeszcze pańskie przyzwyczajenia i zapatrywania: barszcz, kartoflanka, kasza gryczana kłuły mnie w zęby.

Zażądałem obiadów z kasyna oficerskiego. Przyszedł do celi intendent, jak się później dowiedziałem, poczciwy Siedielnikow³: siwy starowina ledwo się trzymał na nogach.

– Kto mnie potrzebował? Czego chcecie?

Wysunąłem się naprzód, wyłuszczyłem, że zdrowie mi nie pozwala jeść więziennych pokarmów, prosiłem o przysłanie za moje pieniądze obiadów z kasyna oficerskiego.

– Co dostajecie na obiad? – pyta Siedielnikow.

– Barszcz, kartofle, kaszę, czasem sztuka mięs.

– Tak się i należy! Dostajecie takie życie, bo jesteście bandyci.

– Nie! My wszyscy czterej jesteśmy politycznymi więźniami.

– Skoro dostajecie tylko barszcz i kaszę, grochówkę i kartofle, to znaczy, że jesteście bandyci. Gdybyście byli szlachta, to dostawali byście kotlety.

– Właśnie my tu wszyscy jesteśmy szlachta: ja – szlachcic, pan Kodymowski – szlachcic, pan Kowalewski szlachcic, a to nawet – hrabia Hauke.

Wprawdzie ostatnio wymieniony towarzysz był to sobie biedny malarz pokojowy z Włocławka, wcale nie „dobrego urodzenia” i zapewne dotychczas nie wiedział nawet, że nosił głośne w początkach Kongresowego Królestwa Polskiego nazwisko. Ale dla otrzymania kotleta warto było dopuścić się kłamstwa.

– Jeślibyście byli szlachtą, to dostawalibyście kotlety – zakonkludował Siedielnikow – a że dostajecie barszcz i kaszę, to widać jesteście bandyci.

Zaprotestowaliśmy i skończyło się na tym, że nazajutrz i w dni na-

³ Według wspomnień nieodżałowanej tow. Marii Paszkowskiej, zamieszczonych w książce pt. *Życie i praca Marji Paszkowskiej* Aleksiej Siedielnikow był to „dziwny człowiek o umyśle nieskomplikowanym, prostym, ale prawy, szlachetny, dobry, wrażliwy na cierpienie ludzkie”. Będąc przez 27 lat intendentem X Pawilonu, okazywał wiele współczucia dla więźniów politycznych i starał się, jak mógł, ulżyć ich doli. Słabowitym wyznaczał „lepsze” cele, dawał lepsze pożywienie. „Robotnikowi” dostarczał dokładne spisy więźniów. Sam nosił „grypsy”, czyli tajną korespondencję. Aleksiej Siedielnikow miał żonę Polkę, trzech jego synowie również pożenili się z Polkami. Umarł w Moskwie mając 70 lat, w 1916 r.

stępne, aż do wyroku, podawano nam, niemal jak w restauracji, przyzwoite nakrycie, porcelanowe talerze, noże, widelce, łyżki platerowane i na obiad rosół lub jaką zupę, sztukamięs i zawsze kotlety. Wiedzieliśmy, że to kotlety, bo Siedielnikow uprzedził, w przeciwnym razie przyjmowalibyśmy je raczej za bułkę obsmażoną w tłuszczu.

Po wyroku przeniesiono nas, pozbawionych praw, do innych celi i kotlety się skończyły.

Wkrótce przewieziono nas do Arsenału, przebrano w aresztanckie ubranie, katorżan⁴ zakuto.

Pierwsze dni w Arsenale były dość przykre: spanie na ziemi na sienniku bez prześcieradła, apel rano i wieczorem, sprawdzanie kajdan, brutalność dozorców.

W kamerze siedziało nas 42, w tym tylko trzech kryminalistów. Przeważali katorżanie. Niemal cały dzień spacerowaliśmy po sali. Można sobie wyobrazić, jaki to powstawał przytem brzęk kajdan!

Wziąłem się do nauki żargonu żydowskiego. Nauczycielami moimi byli dwaj towarzysze z Konina, skazani na katorgę za sąd partyjny⁵. W zamian uczyłem towarzyszy arytmetyki i pisania. Nauka szła kiepsko. Byłem wciąż jeszcze zdenerwowany. Pragnąłem być jak najprędzej poza murami więziennymi, wysyłka jednak nie następowała, jesień się zbliżała, a w zimie transporty więźniów na Syberię nie były kierowane.

Razu pewnego, gdym stał podczas apelu w szeregu, ktoś mnie poklepał po ramieniu.

– A! I paneś wpadł nareszcie!

Był to dyżurny pomocnik naczelnika więzienia, Swaryczewski. Poznał mnie. Przedtem służył jako naczelnik posterunku policyjnego w Aleksandrowie. Cichy, spokojny człowiek. Socjalistów bał się

⁴ Katorżanin – więzień skazany na katorgę, czyli roboty ciężkie. Zakuty w kajdany – przyp. red.

⁵ Było tak: Na wiozących towary z jarmarku kupców z Konina napadali na szosie bandyci. Ponieważ policja rosyjska była w roku 1905 zdemoralizowana i zdeorganizowana, poszkodowani kupcy – za radą naczelnika Straży Ziemskiej – udali się po pomoc do Komitetu PPS w Koninie. Partia była wtedy siłą wszechwładną. Bandyci, zagrożeni zastosowaniem przez PPS terroru, zwrócili zrabowane towary, wynagrodzili kupcom straty. Ale w parę lat potem, gdy reakcja wzięła górę, policja wytoczyła tymże kupcom sprawę karną za uznawanie władz partyjnych z pominięciem policji rosyjskiej i sąd skazał każdego na 6 lat katorgi. W więzieniu kupcy, obcując z naszymi towarzyszami, sami stali się socjalistami.

jak diabłów. Dla mnie był zawsze uprzejmy. Jego przyjazne zachowanie się względem mnie zrobiło na dozorcach wrażenie i byli odtąd dla mnie o wiele grzeczniejsi.

Nareszcie przysłała wiadomość, że powędruję na Sybir. Uciecha, niepewność, niepokój na przemian mną nurtowały.

Zawezwano mnie do kancelarii więziennej. Zostałem tam tow. Kodymowskiego⁶.

Pomocnik naczelnika więzienia, przywoity Rosjanin, wręczył nam od żon po 5 banknotów pięciorublowych, przestrzegając, abyśmy je dobrze schowali, żeby dozorczy nie odebrali ich przy rewizji. Wetknąłem je w źle zaszyty pas sukieny, którym opasywało się chałat więzienny. Szczęśliwie doniosłem do celi, rewizji nie było. Towarzysze zaszyli mi pieniądze w worek, jaki dostałem, jako ekwipunek na podróż na Sybir od ostatniego króla polskiego — krwawego cara, Mikołaja II.

Na drugi dzień rano poprowadzono nas piechotą na Pragę do więzienia etapowego. Tam w dwóch niewielkich pokojach na pierwszym piętrze zebranych było dużo aresztantów, przeznaczonych do więzień i na osiedlenie w Rosji i na Syberii. Byli skazańcy z wyroków sądowych kryminalni i polityczni, byli też i „administracyjni”⁷. Pewną ilość stanowili katorżanie. Prócz nas trzech ze sprawy wrocławskiej⁸ wszystko byli nieznajomi.

Rozdano wałówkę, przyslaną ostatni raz na daleką drogę od rodzin i od Komitetu Opieki nad Więźniami. Dostałem od żony bieliznę, koc, jasek, dużo suchej kiełbasy myśliwskiej i słoniny węgierskiej z papryką. Przemyciła mi żona nawet kawałek mydła, choć był to artykuł na etapie zakazany.

Spakowawszy swoje rzeczy w węzełki, z których jeden zaopatrzone był w szelki i mógł być noszony, jako plecak, usiadłem zmęczony na łomoczku pod piecem.

– Jeden akt życia się skończył! Co mnie czeka teraz? Jak się życie ułoży? Idę w daleką drogę. Czy wrócę? czy zobaczę jeszcze matkę, żonę, dzieci?

⁶ Aptekarz z Lubrańca koło Brześcia Kujawskiego Feliks Kodymowski, skazany wraz ze mną.

⁷ Gubernatorzy mieli władzę skazywania na deportację do Rosji lub Syberii bez udowodnienia winy, jedynie na mocy podejrzenia. Niejednokrotnie skazywano administracyjnie na zesłanie do sąsiedniej guberni.

⁸ Jak wyżej wspomniałem, na zesłanie na wieczne osiedlenie na Syberii skazano mnie, tow. Kodymowskiego i tow. Matuszczaka.

Podobne myśli świdrowały mi mózg.

Byłem zmęczony. Zdrzemnąłem się. I we śnie pokazał mi się za piecem potwór: smok nie smok, wesz nie wesz, coś wstrętnego, wielkiego, straszego. Najeżył grzbiet, kłapał groźnie zębami. Naprzeciw podobny do niego upiór szykował się do walki. Zwarli się. Powstał chrzęst, stuk, hałas...

Zerwałem się na nogi. Straszydła pierzchły. Na środku sali stał zaperzony katorżanin, walił pięścią w stół, krzyczał donośnym głosem:

– Zawołać naczelnika więzienia! Niech przyjdzie natychmiast! Mam ważny interes!

Niebywała scena! Dziwny sen!

– Nieraz później przypominał mi się widok tego niezwykłego katorżanina, a jednocześnie przychodził na myśl obraz walczących potworów. I mimo woli, choć w sny nigdy nie wierzyłem i nie starałem się ich odgadywać, stawiałem sobie pytanie, co to dziwne, senne widziadło miało oznaczać. Po wielu latach wytłumaczyłem sobie, że oznaczało walkę kultury rosyjskiej z zachodnioeuropejską o duszę biednego, opuszczonego skazańca. Polska myśl narodowa uważa ją za swoją wyłączną własność, broni przed atakami przywar rosyjskich. Ale czy obroni?!... Niestety! Jakżeż często i jakżeż prędko wygnaniec się wynaradawiał, zapominał języka polskiego, stawał się Moskalem! Spotykałem na Syberii wiele takich przykładów. Starzy powstańcy z 63. roku ledwie po polsku mówili, a ich dzieci nie wiedziały o swym polskim pochodzeniu. Spomiędzy najnowszych zesłańców niejeden zerwał wkrótce kontakt z krajem, rozpił się, przyjął kulturę rosyjską.

2. Herszt złodziei

Zgrzytnął klucz w zamku, szczęknęły żelazne zasuwki. Do celi wszedł dyżurny pomocnik naczelnika. Katorżanin, którego hałas obudził mnie przed chwilą z drzemki, zwrócił się do niego z jakimś błahym żądaniem. Naczelnik odpowiedział, że to żądanie nie może być spełnione, jako nie na czasie przed samym wyjazdem. Na to katorżanin ryknął:

– Moje żądanie jest nie na czasie, spełnić go nie chcesz, ale gdy ci byłem potrzebny, wiedziałeś, do kogo się zwrócić i Górski kazał ci wstawić do mieszkania mebelki za 500 rubli! A teraz to mnie znac nie chcesz!

Urzędnik więzienny uważał za najwłaściwsze wycofać się za drzwi. Na ukaranie Górskiego czasu nie starczyło. Dobrze on o tym wiedział i dlatego nie krępował się wywołać awanturę: z porządkami i zwyczajami więziennymi dobrze był obeznany, bo od osiemnastego roku życia niemal ciągle siedział w więzieniach, a w krótkich stosunkowo przerwach między opuszczeniem więzienia a nowym aresztowaniem robił mniej lub więcej „udatne” włamywania.

Górski pochodził z inteligentnej rodziny. Dziadek jego był ostatnim polskim dyrektorem męskiego gimnazjum w Piotrkowie Trybunalskim w czasie, gdy inspektorem był Pawełek, chlubnie wspomniany w świetnym opisie wyczynów młodzieży szkolnej pt. „Nad poziomy” Skiby⁹. Gdy byłem małym chłopcem, nieraz bywałem w mieszkaniu jego babki, pani Dyrektorowej Beithel¹⁰, na rogu ulicy Garncarskiej i Sulejowskiej w Piotrkowie. Mieszkali u niej wnuczku Władysława Kraszewskiego, kolega gimnazjalny mego starszego brata śp. Gustawa ze swą siostrą – koleżanką i przyjaciółką mej siostry. Pani Dyrektorowa Beithel swą postawą i powagą prawdziwej, polskiej matrony wzbudzała w otoczeniu głęboki szacunek. Wspomniany jej wnuczek, a brat cioteczny Górskiego, Kraszewski, był po wojnie biskupem częstochowskim.

Podczas kilkutygodniowej podróży do Krasnojarska Górski opowiedział mi swoje *curriculum vitae*. Ojciec oddał go do terminu do ślusarza. W osiemnastym roku życia pierwszy raz dostał się do więzienia. Odtąd w ciągu piętnastu lat przeważnie siedział pod kluczem. Będąc na wolności, robił włamania. Z katorgi pod Irkuckiem („Aleksandrowskij Central”) uciekł. Przez jakiś czas, mając fałszywy paszport, udawał inżyniera górnika w słynnych witimskich kopalniach złota. Tam – powiedział – znał mego brata śp. Gustawa. Widocznie nie widział możliwości wywiezienia stamtąd złota, bo wyjechał do Władywostoku, skąd po udanym włamaniu przyjechał pierwszą klasą wschodniego ekspresu do Warszawy. Mieszkał tutaj przeszło rok. Złożył wizyty swym kuzynom w Piotrkowie, z których oni nie byli bynajmniej zadowoleni, jeździł do Berlina. Przypomina sobie, że mnie widział w Aleksandrowie na sali rewizyjnej. Zmysł tak zwany zwierzęcy i pamięć wzrokową miał nadzwyczajne.

⁹ Wołody Skiba (właściwie Władysław Sabowski), *Nad poziomy*, powieść dla młodzieży z okresu Powstania Styczniowego, nawiązująca do doświadczeń osobistych autora, wyd. 1., Warszawa 1887 – przyp. red.

¹⁰ Żona Karola Beithela.

Gdy władzywostockich pieniędzy już pozostało niewiele, zrobił nowe rozprucie kasy, lecz „nieszczęśliwie” został złapany. Choć dał dużą łapówkę, by przekrecono jego prawdziwe nazwisko przez zamianę kilku liter na „Górski”, wyszła na jaw jego ucieczka z katorgi i został ponownie zesłany na 7 lat katorgi oraz za ucieczkę na 40 batogów. Chłosty unikał, zawdzięczając amnestii. Przez jakiś czas odsiadywał katorgę w Łomży, gdzie więźniom działo się jak w raju: robili podobno, co chcieli, po całych dniach przebywali na podwórzu, gdzie urządzali gry i raczyli się herbatą. Dokuczwały im tylko kajdany i brak wolności. Obecnie Górski szedł z powrotem do Aleksandrowskiej katorgi pod Irkuckiem dla odbycia reszty kary.

Przez cały czas wspólnej podróży, aż do Krasnojarska, Górski był stale wybierany przez więźniów na starostę, do którego czynności należało dbanie o czystość w wagonie, sprowadzanie prowiantów, pośredniczenie między więźniami i konwojem. Zawdzięczając swej powadze i stanowczości, wywiązywał się ze swych obowiązków znakomicie. Zadziwiająca była jego umiejętność wyliczania się z otrzymywanych od więźniów na zakupy pieniędzy. Konwój wypłacał nam po 10 kopiejek dziennie na utrzymanie; na Syberii szlachta, choć pozbawiona szlachectwa, otrzymywała po 15 kopiejek. Prócz tych „strawnych” więźniowie mieli prawo posiadania przy sobie gotówki do 99 kopiejek. Większe sumy konwój przy rewizji odbierał i czasem konfiskował, a czasem przekazywał do dyspozycji więźnia do miejsca jego przeznaczenia: do katorgi lub na osiedlenie. Ale więźniowie umieją chować pieniądze i inne niezbędne rzeczy! Pomimo najskrupulatniejszej rewizji, rozbierania przez konwój niemal do naga, więźniowie dawali na zakupy banknoty pięcio-, dziesięcio-, a nawet dwudziestopięciorublowe. Konwój dziwił się, skąd się takie pieniądze wzięły, ale nie kwestionował prawa dysponowania pieniędzmi, załatwiał sprawunki, a starosta Górski skrupulatnie oddawał każdemu jego prowianty i resztę, co do grosza. Nieporozumień pod tym względem nie było.

Nie znaczy to, aby Górski był szczególnie skrupulatny w sprawach pieniężnych. Uważał za rzecz z punktu widzenia złodziejskiego „niehonorową” okradanie współtowarzyszów niedoli więziennej, ale nie wahał się, gdy się nadarzyła sposobność, naciągnąć „frajera”. Gdyśmy przyjechali do Krasnojarska i zostaliśmy umieszczeni w wielkim baraku więziennym, mogącym pomieścić nawet paruset więźniów, wnet wynalazł jakiegoś więźnia, który miał przy sobie karty

do gry, pożyczył od jednego z naszych towarzyszy kilka rubli, założył bank, ograł swych partnerów, ale długu nie oddał.

Między więźniami Górski cieszył się mirom i uznaniem. Stosunki we wszystkich więzieniach znał, jak gdyby tam przebywał: na etapach wypytywał spotkanych więźniów, skąd i dokąd idą, kto jest naczelnikiem którego więzienia, jacy więźniowie i za co tam siedzą, wypytywał o los znajomych i nieznanym, słowem poznawał całą, żywą gazetę więzienną. Naturalnie nie chował wyłącznie dla siebie zdobytych wiadomości, lecz dzielił się nimi z zainteresowanymi, dawał wskazówki, przysyłał przez więźniów wiadomości i pozdrowienie starym przyjaciołom.

W rozmowach Górski wykazywał dużą inteligencję i swymi opowiadaniem umiał prawdziwie zainteresować. Z nami politykami prowadził dysputy o zagadnieniach politycznych, społecznych i filozoficznych, jak stary partyjnik, z kryminalistami rozmawiał o złodziejstwach, włamaniach, szantażach. Z kobietami flirtował, dzieciom śpiewał, sztuki pokazywał. Gdy nas wypuszczono w Krasnojarsku na dziedziniec więzienny, zaraz się gdzieś ulotnił, a po jakimś czasie zobaczyliśmy go, jak spacerował w ustroniu pod rękę z młodą aresztantką. Wkrótce zaś zebrał grono dzieci, co wraz z rodzicami szły etapem na zesłanie, urządził korowód, pokazywał sztuki, fikał kozły, chodził na rękach. Jednym słowem, chłop – do wszystkiego! I jaka szkoda, że taki człowiek wszedł na drogę występku! Co go skłoniło? Kto go pchnął? Nie mówił mi o tym, natomiast opowiedział charakterystyczny epizod ze swego awanturniczego życia.

Zorganizował wyprawę na Skarbiec Jasnogórski. Kompanów wyprawili najpierw do Częstochowy, sam zaś wstąpił po drodze do babki w Piotrkowie. Gdy się babka dowiedziała, że występny, a jednak kochany wnuk Staś jedzie do Częstochowy, wzięła go za rękę, zaprowadziła do sypialni, uklękła przed obrazem, zawieszonym nad łóżkiem i zaniósła błagalne modły do Matki Boskiej o spowodowanie, aby się jej wnuk poprawił. Górski klęcząc, słuchał modlitwy babki. Nazajutrz pojechał do Częstochowy.

– Nie wiem – powiada – czy przyczyną było wrażenie, jakie sprawiła na mnie modlitwa babki, czy też widok rozmodlonego do ekstazy ludu w kaplicy przed cudownym obrazem, czy może jedno i drugie razem, ale muszę stwierdzić, że się zawahałem. Nie starczyło mi siły woli do przystąpienia „do roboty”, odesłałem kompanów z powrotem do Warszawy i sam też za nimi wróciłem.

I widać, był to człowiek „nieprzeciętny”, skoro już w młodym wieku potrafił wzbudzić posłuch i szacunek u kompanów.

Podczas wspólnej podróży byliśmy świadkami, w jaki sposób Górski zmuszał do spełniania swoich rozkazów. Jechaliśmy statkiem po Wołdze z Niżnego do Samary. Górski zauważył, że nie wszystkim więźniom spodobał się jego wybór na starostę. Słyszeliśmy szemrania, że nasza grupa „Polaczków” wraz ze starostą trzyma się na ubożcu i rozmawia tylko po polsku. Górski zwrócił uwagę na jakiegoś nieboraka, siedzącego na najwyższej, trzeciej półce. Kazał mu zamieść kajutę. Złodziejaszek ociągał się. Powiedział: nie na mnie kolej, niech zamiecie kto inny. W jednej chwili Górski, jak kot, wskoczył na półkę, pazurami chwycił ofiarę za twarz, zrzucił głowę na dół na podłogę i, ledwo ten upadł, bił go i kopał nogami. Wnet bez złości, ale stanowczo rozkazał: „zamieć!!!” i wskazał na miotłę. Złodziejaszek wziął z kąta miotłę i zabrał się do zamiatania. Szemrania ucichły!

Rozstaliśmy się z Górkim w Krasnojarsku i więcej o nim nie słyszałem. Powędrował z partią na wschód do Irkucka.

3. Żyd z Nalewek

Do więziennego baraku w Krasnojarsku przybywały nowe partie aresztantów, stare odchodziły, zmieniały się postacie i typy. Jakiś artysta zabawiał zebranych monologami, ktoś grał na bałabajce, za piecem, pod zasłoną nar grupka grała w karty, naokoło nar kręcił się „baracholszczyk”¹¹: kupował od jednych i sprzedawał innym drobne rzeczy podrózne: szmaty na onucze, rękawice, czapkę, ręcznik, koszulę itp. Może z przyzwyczajenia, a może dla drobnego zysku! Aby handel szedł! Jedni leżeli na narach, niektórzy spali, inni siedzieli grupkami, rozmawiali. Rozmaici ludzie. I katorżanie w kajdanach i drobni przestępcy w robotniczych lub chłopskich ubraniach, jak również i inteligenci. Rozmaite ubrania, rozmaite języki, najprzeróżniejsze typy, różne narodowości: Rosjanie, Polacy i Ukraińcy, Łotysze, Mordwini i Czeremisi, kaukazczycy, Tatarzy i Kałmucy, czałdoni¹² syberyjscy i Burjaci zabajkalscy. Kto ich rozróżni, kto sprawdzi, kto zrozumie?

W kąciku przy oknie siedzi na łomoczku starszy, szczupły mężczyzna z niewielkim zarostem, w skromnym, europejskim ubraniu. Nie zbliża się do innych, widocznie unika obcowania ze złodziejami.

¹¹ Baracholszczyk – handlarz starzyzną.

¹² Czałdon – chłop syberyjski, starożył, potomek zesłanych ongi na osiedlenie przestępców.

Któryś z nas zauważył go.

– To zapewne polski Żyd. Porozmawiajmy z nim!

Zbliżyliśmy się do niego. Nawiazujemy rozmowę naturalnie po rosyjsku.

– Co wy tak z daleka od innych? Zajmijcie miejsce na narach! Będzie wam wygodniej.

– Mnie i tu dobrze.

– A wy skąd jesteście?

– Jestem mieszkańcem Krasnojarska.

– Właśnie jesteśmy w Krasnojarsku.

– Ja wiem.

Czujemy, że niechętnie wdaje się z nami w rozmowę.

– Mieszkacie w Krasnojarsku i jesteście tu w więzieniu etapowym. Przyjechaliście, czy też wiozą was do innego więzienia?

– Przywieźli mnie z Rosji.

– To byliście w Rosji? Czy tam mieszkaliście?

– Nie! Ja jechałem.

Nie rozumiemy, ale indagujemy dalej:

– A skąd was wiozą?

Wymienił miejscowość.

– Jeździliście, pewnie za jakimi interesami, czy może tam mieszkaliście?

– Nie, ja jechałem pociągiem, okradli mnie, ukradli mi dokumenty, to mnie tam aresztowali i przysłali etapem z powrotem do Krasnojarska.

– Rozumiemy! Jechaliście dalej, a tam was aresztowali. A dokąd jechaliście?

– Ja jechałem na Nalewki.

– Na jakie Nalewki?

– No, na Nalewki!

– Na Nalewki? Czy może do Warszawy?

– No, tak! Ja jechałem na Nalewki!

– Czyli, jesteście z Warszawy?

– Tak! Ja jestem z Nalewek.

Wtedy już zwracamy się do niego po polsku:

– To pan jest z Warszawy? A w Krasnojarsku pan dawno?

– Ja tutaj już 42 lata.

– To od powstania?

– Tak! Bo ja należał do powstania i uciekł za granicę. A po powsta-

niu to ja wrócił na Nalewki, bo myślał, że już nic nie będzie, ale mnie aresztowali i zesłali na Sybir.

- Czem się pan zajmuje w Krasnojarsku?
- Jestem felczer.
- Zapewne pan się tu ożenił? Ma pan żonę, dzieci?
- Mam żonę, mam dwie córki, mam w Krasnojarsku dom.
- Córki już zapewne dorosłe? Czym się trudnią?
- Są także felczerkami. Są już zamężne.
- A na Nalewki po co pan jechał? Czy ma pan tam także, kogo z rodziny?
- Nie! Nie mam nikogo.
- To po co pan jechał na Nalewki?
- Hm! Jak to powiedzieć? Proszę panów! Ja już jestem stary. Ja się urodził na Nalewkach, no, to proszę panów ja chciał i umrzeć na Nalewkach.

Czuliśmy, że mówi prawdę. Nie błagował. Nie wątpiliśmy w szczerść tego starego Żyda z Nalewek. Nie chwalił się przed nami swym patriotyzmem, nie wystawiał go na handel, nie miał w tym żadnego interesu. Bo i czegoż mógł się spodziewać od nas za jego przywiązanie do starej ziemi rodzinnej, za jego tęsknotę do naszej wspólnej, uciemiężonej Ojczyzny? Rozumieliśmy, że raczej obawiał się, abyśmy mu za złe nie wzięli jego rzadkiego sentymentu. Może doznawał z tego powodu przykrości, może go już kiedy wysmiewano, może mu dzieci wzbraniały podróży na Nalewki. A jego tam ciągnęło! Pragnął choć przed śmiercią zobaczyć swoje stare śmieci, odrapane domy na Nalewkach, które w jego przeczulonej wyobraźni przedstawiały się zapewne jako wspaniałe pałace, kwieciste klomby i nęciły go swym czarodziejskim widokiem i cudownym zapachem. Marzył o pobycie wśród swoich chociażby na krótko przed śmiercią, bo w ciągu tych długich czterdziestu dwóch zim syberyjskich nie mógł się zżyć z otoczeniem, uważał go za obce, a miłością pałał może większą niż do własnych dzieci, do tych najbliższych swoich, których zostawił tam daleko nad brzegami szarej Wisły...

Przez dobrą chwilę nie rzekliśmy ani słowa. Bo i cóż można było powiedzieć?

Milczeniem naszym stwierdziliśmy szacunek i hołd dla tego nieznanego patrioty.

Nie dowiedzieliśmy się nawet jego nazwiska.

Pozostał mi w pamięci, jako Żyd z Nalewek.

4. Pan Jabłoński

Wkrótce etapowe więzienie w Krasnojarsku opustoszało. Pozostało nas dwudziestu kilku zesłańców politycznych w oczekiwaniu na statek, któryby nas powiózł na północ do Jenisejska, a którego przybycie opóźniło się z powodu niskiego stanu wody w Jeniseju. Osadzono nas w stosunkowo niewielkiej celi; we dnie korzystaliśmy z dużej wolności, mogąc bez skrupowania przebywać na dziedzińcu.

Chwilowy zastój w ruchu więziennym dopiero przy końcu drugiego tygodnia naszego pobytu w Krasnojarsku ożywiło przybycie jakiejś nowej partii aresztantów. Wśród nich zwrócił naszą uwagę mężczyzna o niezwykle szerokich barach, z długą brodą, w aresztanckim ubraniu. Stał na dziedzińcu pomiędzy aresztantami, rozprawiał o czymś gestykulując rękoma.

– To nie rosyjski typ! Dowiedzcie się, kto to taki i o czym opowiada!

Wysłany towarzysz prowadzi go po chwili do naszej celi. Następują powitania. Mówi dobrze po polsku z akcentem litewskim, przeciągle, śpiewnie. Rzadko wtrąca wyrazy rosyjskie. Nazywa się Jabłoński, pochodzi z Kowieńskiej guberni, na Syberii jest już dwadzieścia parę lat.

Widocznie jest to natura niespokojna, awanturnicza, chociaż z ruchów i powolnej mowy zdaje się być flegmatykiem. Opowiada, że na Syberii kilkakrotnie dorabiał się fortuny, zakładał gospodarstwo, brał sobie babę, to znaczy zwyczajem syberyjskim mieszkał z kobietą „na wiarę” w nieślubnym związku małżeńskim. I kilkakrotnie tracił znowu wszystko. Co było tego powodem, nie wspominał, a myśmy go naturalnie nie pytali. I teraz szedł znowu do Jenisejska do „rot aresztanckich” (domów poprawy) na parę lat.

Interesowało nas pytanie, czy tęskni za Ojczyzną, czy wróci, gdy będzie mógł, do kraju. W odpowiedzi jego przebija tajona, tęsknana nuta:

– Nie panowie, ja już nie wrócę! Bo i po cóż? Przyzwyczailem się do syberyjskiego życia, do włóczęgostwa. A tam nie mógłbym się znowu nagiąć do panujących porządków i etykiety, trudno by mi było żyć się z ludźmi. Nie! Ja już proszę panów, nie wrócę! I gdzieżbym mógł wrócić?... Bracia moi są ludzie bogaci, dworzanie¹³. Może by mnie nawet nie chcieli wcale przyjąć, a w każdym bądź razie wstydziliby się mnie, bo przecież wszyscy wiedzą, za co jestem zesłany. Nie, panowie! Ja nie wrócę, ja już tu zostanę i umrę na Syberii!

¹³ Z rosyjska – miało znaczyć: szlachta.

Gawędziliśmy długo. Pan Jabłoński opowiadał o warunkach życia syberyjskiego, dawał nam wskazówki, jak się na wygnaniu urządzić, przeplatał opowieściami z własnych przeżyć.

Pewnego razu – powiada – przyprawiono do naszej wsi zesłańców na osiedlenie. Ciekawy byłem, czy nie ma między nimi kogo z moich okolic rodzinnych. Poszedłem zobaczyć. Pytam się. Nikogo nie było z Kowieńszczyzny, natomiast znalazł się młody chłopiec z Kongresówki. Zabrałem go do chaty. Nakarmiłem. Pytam się, czym się będzie zajmował, czy zna jakie rzemiosło. Nie umie nic, będzie musiał, powiada, nająć się do chłopca za parobka. Żal mi się go zrobiło. Franciszek wyglądał na dobrego chłopca. A zresztą był ziomek, Polak, katolik. Powiadam mu, przeto: jeśli chcesz to będziemy razem pracowali. Ja się zajmuję tractwem. Nauczę cię. Z początku będziesz stał na dole, a jak się wprawisz to i na wierzchu będziesz ciągnął piłę. Na drugi dzień wziąłem go z sobą do pracy. Był sprytny do roboty. Nauczył się. Pracowaliśmy razem przeszło rok.

Pewnego razu Franciszek powiada mi, że rad by spróbować szczęścia, pracować samemu, na swoją rękę. „Niech ci Bóg pomaga! Idź z Bogiem!” powiadam. Poszedł. Osiadł w sąsiedniej wsi o kilkadziesiąt wiorst. I znowu przeszedł rok czy więcej. Dowiaduję się mój, Franciszek ożenił się z czałdonką¹⁴, a na domiar złego przyjął prawosławie. Zawrzało we mnie! Przyjąć prawosławie dla baby! Zmienić religię! Czekaj! Dam ja ci kiedy!

Jakoż czekałem niedługo.

W jakiś czas Franciszek przyjeżdża do mnie z prośbą, abym mu wybrał nową piłę tracką. Od dobrej przede wszystkim piły zależy rezultat pracy tracza: jeśli piła jest z miękkiej stali, trzeba ją często ostrzyć i poprawiać „drogę” tzn. rozstawienie zębów, które znowu zbyt łatwo łamią się o sęczki, gdy piła jest z kruchej stali. Przez długoletnią praktykę tracz poznaje przymioty piły po dotknięciu jej zębów palcami.

Poszliśmy do sklepu i wybrali piłę. Kupno naturalnie trzeba było oblać. Franciszek przyniósł butelkę wódki. Na Syberii jest przyjęte, że gość częstuje gospodarza domu swoją wódką. Gdyśmy wypili, posłałem po drugą butelkę. Popiliśmy się. Powiadam wtedy:

- To ty, Franciszku, ożeniłeś się z czałdonką?
- Ano, cóż było robić? Bez baby trudno żyć. Ożeniłem się. Dobra kobieta. Swojej katoliczki gdzie tu znaleźć?

¹⁴ Czałdonka – chłopka.

– Tak, tak, masz rację! Bez baby trudno żyć, a swojej katoliczki nie ma! Żeś wziął sobie czałdonkę, to nic by tak bardzo złego i nie było, ale tyś, Franciszku, dla baby zmienił religię, przyjął prawosławie!

Franciszek zmieszał się, nie przypuszczał, widać, że już o tym wiem. Po pijanemu zaczął coś bełkotać, a ja go jak nie wyrznię butelką w łeb, aż się rozprysnęła na drobne kawałeczki.

– A ty warnaku¹⁵, zaprzańcu, znajdo, psie prawosławny!

Zerwaliśmy się! Mój Franciszek – w nogi! Był pijany, na progu izby potknął się i runął. Schwyciłem drąg, którym zasuwiałem drzwi na noc, i dawaj go okładać! Byłbym go utłukł na śmierć. Na szczęście straciłem równowagę i przewróciłem się, a Franciszek wyczołgał się na podwórze. Dostał nauczkę! Po co przyjął prawosławie!

Bolało go, że Franciszek zmienił wyznanie katolickie na inne, ale zapewne nie zdawał sobie pan Jabłoński sprawy, że biorąc ślub z czałdonką, Polak podpisuje cyrograf na dobrowolne, acz powolne wyrzeczenie się polskości. Bo pan Jabłoński, jeszcze w młodości, jako paniczyk, syn obywatelski, czuł się zapewne tylko katolikiem, w odróżnieniu od, faworyzowanych na Litwie przez carski rząd, prawosławnych, a nie był dostatecznie uświadomiony pod względem narodowym.

Bez wątpienia i Franciszek nie z lekkim sercem zmienił wyznanie, o którym od wczesnej młodości słyszał, że jest jedyne i najlepsze. Jednak, jako człowiek nieinteligentny, bez nauki, nie znał treści, dogmatów ani swojego, ani żadnego innego wyznania i przywiązywał wagę tylko do zewnętrznej formy, do obrządków. A gdy te z biegiem czasu zatarły się w pamięci – stracił jedyną, jaką posiadał, łączność z katolicyzmem. Stąd jeden krok do przyjęcia prawosławia!

Bardzo wielu Franciszków, Janów, Antków czy Kazimierzów postąpiło podobnie. Uznawali tradycję za świętą, spełnianie obrządków za obowiązek, a opinię, sąd otoczenia za zasady moralności, przeciwko którym występować nie wolno, niemal za nakaz sumienia. Tak ich uczono, taką wiarę wpajano od najmłodszych lat. Gdy zaś nie stało dawnych stróżów moralności, gdy opinia nowego otoczenia inny wydawała sąd o tych samych kwestiach, a zamiast dawnych form i obrządków pokazywano nowe – nic dziwnego, że przeniesieni w inne środowisko ludzkie i w inne warunki życiowe zesłańcy, nie mający głęboko wpojonych zasad, prędko zapominali

¹⁵ Warnak – obelżywy epitet; łotr, łajdak.

o zachowywaniu tradycji i obrządków i przyjmowali zwyczaje nowego otoczenia, wynaradawiali się, zapominali rodzinnego języka, stawali się czałdonami, Sybirakami.

5. Etapem z Krasnojarska do Pirowska

Wyjeżdżając z Warszawy, wiedziałem, że jadę do Jenisejskiej guberni, bo tam kierowano w tym roku zesłańców na osiedlenie, ale nie wiedziałem, do jakiej mnie ześlą miejscowości ani nawet – do jakiego powiatu. Dopiero w Krasnojarsku dowiedzieliśmy się, gdzie każdy z nas ma wyznaczone miejsce stałego pobytu. Najpierw stało się wiadome, że będziemy wysłani do Jenisejskiego powiatu. Z wyjazdem czekamy tylko na statek, który w powrotnej drodze z Turuchańska zatrzymał się w Jenisejsku z powodu niskiego stanu wody, uniemożliwiającego przeprawę przez poroży przy ujściu Angary. Na kilka dni przed wyjazdem powiadomiono nas dokładnie o miejscu przeznaczenia. Mnie wyznaczono sióło Pirowskoje w Bielskiej wołosci¹⁶. Zaraz posłałem do żony depezę i list z tak ważną wiadomością.

Na statek czekaliśmy dwa tygodnie. Przez ten czas czuliśmy się niemal jak na wolności. Od rana do wieczora cela była otwarta. Mogliśmy chodzić po ogromnym dziedzińcu więziennym i leżeć na trawie. Ze strychu sąsiedniego baraku widziałem okoliczne pola, pasące się na nich stada, ruch na drogach.

Przy więzieniu był sklepik, gdzie można było dostać „czego dusza zapragnęła” i na co pozwalały nasze środki pieniężne. Otrzymywane 10 kopiejek strawnego składaliśmy do wspólnej kasy i tow. tow. Matuszczak i Rutkowski, z zawodu kucharze, zakupywali prowianty i gotowali obiady. Zasobniejsi w gotówkę towarzysze dopłacali do obiadów – po obrachunku – po 2 – 2 i ½ kopiejek. Obiady były naprawdę wspaniałe: i smaczne, i obfite. Towarzyszom kucharzom słusznie wyrażaliśmy swoje uznanie. Słabą stroną obiadów stanowił brak naczyń: jadaliliśmy po czterech – pięciu z jednej miski.

Nareszcie statek przyszedł. Do więzienia przyprowadzono partię aresztantów na sąd za bunt w Turuchańsku¹⁷. Osadzono ich w są-

¹⁶ Wołosć – dawniej: gmina, włość – przyp. red.

¹⁷ Miasto Turuchańsk, o 1500 mieszkańców, stanowi stolicę Turuchańskiego Kraju, zajmującego większą część Jenisejskiej guberni. Najwyższą władzą w Kraju był „pristaw”, podległy jenisejskiemu naczelnikowi powiatu. Osiedla ludzkie, składające się z paru lub kilku chat, rzadko rozsięte są niemal

siedniej celi. Było ich około trzydziestu, w tej liczbie trzech Polaków. Rozmawialiśmy z nimi przez szparę w drzwiach.

O buncie w Turuchańsku opowiadał nam już przed tym jeden z towarzyszy, anarchista, który podczas ucieczki z zesłania w Turuchańskim Kraju został złapany i siedł z powrotem na osiedlenie. W rewolucie ów towarzysz nie brał czynnego udziału, bo nie mieszkał w samym Turuchańsku. Szczegóły jego opowiadania zatarły się w mej pamięci. Jaka była przyczyna rewolty i jaki jej początek, nie mogę sobie przypomnieć. W ogólnych zarysach sprawa przedstawiała się tak:

Polityczni zesłańcy, osiedleni w Turuchańsku, opanowali władzę w Kraju, zabijwszy komisarza (pristawa) i paru funkcjonariuszów policji, a także jednego z zesłańców, co do którego z zabranych w urzędach papierów okazało się, że był szpiclem. Dla przywrócenia porządku wysłano z oddalonego o półtora tysiąca wiorst Jenisejska policję i wojsko. Stawianie oporu nie miało szans powodzenia. Trzeba było uciekać. Ucieczka odbywała się na renach, które tam na północy stanowią jedyny środek lokomocji. Reny żywią się mchem leśnym, a bez pożywienia mogą biec około 300 km. Chytrzy Tunguzi, aby utrudnić ucieczkę, chowali w tajdze swe stada reniferów. Nie mając renów na zmianę, rewolucjoniści nie mogli szybko uciekać i zostali przez pogoń dopędzeni. Na sąd przywieziono ich do Krasnojarska. Rozprawa toczyła się po naszym wyjeździe. Jaki zapadł wyrok, ilu zostało skazanych na śmierć, nie wiem.

Późnym wieczorem przeprowadzono nas do niewielkiego budynku, gdzie zostaliśmy oddani „pod opiekę” konwoju. Miano zamiar zaprowadzić nas zaraz na barkę, ale z powodu spóźnionej pory i ciemnej nocy przetrzymano w ciasnym budynku do rana.

Budynek był mały o trzech niewielkich stancjach. Pierwszą, największą, zajęli żołnierze z konwoju, w drugiej umieszczono kobiety, a do trzeciej wpakowano około stu mężczyzn. Nie było literalnie gdzie stać. Okna pozabijane były deskami. Duszno było strasznie, wręcz brakło powietrza! W sukiennych chałatach, z tobołkami na plecach przestaliśmy tak, ściśnięci w kupę, parę godzin w oczekiwaniu rozkazu wymarszu do barki. Gdy się stało wiadome, że na barkę załadujemy się dopiero rano, aresztanci pozdejmowali chałaty i położyli się na podłodze, jeden obok drugiego i jeden na drugim. Niewiele położyło się w damskim pokoju.

wyłącznie tylko wzdłuż Jeniseju. Najdalej na północ wysunięte miasto Dudinka, mające około 400 mieszkańców, jest ważną stacją statków rybackich.

Oparłem się o ścianę. Wisząca lampa oświetlała blade, wymęczone, spocone twarze aresztantów. Leżeli w różnych pozach, szczególnie zaściewając podłogę. Słysząc było miarowe chrapanie. Co chwila ktoś nagłym ruchem starał się zrzucić z siebie przygniatającego go sąsiada, zmienić pozycję leżenia.

Stałem i patrzyłem. Takiej poniewierki, takiej masowej nędzy ludzkiej nigdy dotąd nie widział i nigdy sobie nie wyobrażał. I nigdy nie czułem tak jak wtedy całego ogromu krzywdy, niesprawiedliwości i poniżenia, jakiego doznają ludzie jedni od drugich. I za co? za jakie przestępstwa? Co tak strasznie zawinili ci ludzie, co leżą tu stłoczeni w prochu i w brudzie, i w zaduchu, jak stado trzody?...

Barka, którą jechaliśmy do Jenisejska, miała na pokładzie dwa rzędy nar, ogrodzone wysokimi, drewnianymi sztachetami, utrudniającymi ucieczkę. Opowiadano, że nieraz więźniowie rzucali się z barki do wody. Jakiś katorżanin podobno skoczył w kajdanach do rzeki, a gdy żołnierze zaczęli strzelać, dał nurka, po jakimś czasie wypłynął daleko od statku i poszedł do lasu. Innym razem więzień dopłynął do wyspy na Jeniseju. Statek zatrzymał się, wyspę przeszukano. Więzień ukrył się. Statek odpłynął pozostawiwszy na wyspie trzech żołnierzy. Gdy więzień wyszedł na brzeg z ukrycia został przez żołnierzy zastrzelony. Żołnierze dostali za to, jak zwykle, 3 ruble nagrody.

Zza sztachet przyglądaliśmy się brzegom. Rzadko widać było wsie. Przy większych siołach statek się zatrzymywał dla wysadzenia na brzeg pasażerów i wyładowania towarów z barki.

Dął silny, chłodny wiatr. I we dnie nie zdejmowaliśmy chałatów. Gdy na noc statek zarzucał kotwicę pokładaliśmy się spać na narach, tułac się wzajemnie do siebie, wspólnie okrywając się kilkoma chałatami.

W Jenisejsku zaprowadzono nas do „zamku”, wielkiego więzienia za miastem, na wzgórzu. W ponurej sieni siedzieliśmy razem z przestępcami kryminalnymi. Jakiś Ukrainiec śpiewał piękne dumki, tańczył kozaczka z „przysiudami”. Gdy zauważył Polaków zaśpiewał „Abośmy to jacy-tacy”!... Śpiewał ładnie. Obdarzyliśmy go oklaskami. Wszystkim krakowiak się bardzo podobał.

Nareszcie po tygodniu – w dniu 15 września 1909 r. – wyprowadzono nas z więzienia. Węzłki złożyliśmy na podwoły i poszli piechotą pod przewodnictwem strażnika, ubranego po cywilnemu.

Z początku szliśmy razem w szeregach. Gdyśmy jednak zobaczyli bliski las, puściliśmy się na wyścigi. Aby prędzej! aby prędzej!... Na

próżno strażnik nawoływał. Coś ciągnęło do lasu, do wolności! Nie słuchaliśmy strażnika, choć strzelał na postrach z rewolweru. Każdy biegł, jak mógł najszybciej. Aby dalej od więzienia! Oby prędzej do wsi, między wolnych ludzi!

Pogoda była jesienna: słońce i śnieg, i deszcz na przemian. W lesie trawa – żółknięta, żółkłe liście trzymały się jeszcze na drzewach. Droga – ciężka, błotnista, ścieżka – śliska. Wyciągnęliśmy się w długi szereg. Podwozy z rzeczami pozostały daleko w tyle. Nad wieczorem stanęliśmy we wsi Jełanskoje, zrobiwszy tego dnia 30 wiorst drogi. Byliśmy zmęczeni, przemoknięci. Niejeden obtarł sobie nogi. Byliśmy w aresztanckich pantoflach, które najmniej nadawały się do dalekiej podróży po błocie.

W Jełanskim zamieszkiwało wielu administracyjnych zesłańców politycznych. Dowiedziawszy się o naszym przybyciu, zaprosili nas na nocleg do siebie. Ja z paroma towarzyszami nocowałem u tow. Monastyrskiego z Krasnojarska. Choć sam był w ciężkich warunkach, ugościł nas jak przyjaciół, czym mógł. Jajecznicza na mleku bardzo mi u niego smakowała.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy w dalszą drogę, następnego dnia dotarliśmy do Białej, a czwartego dnia od wypuszczenia z więzienia w Jenisejsku przybyłem z kilkoma towarzyszami do kresu swej podróży, do Pirowska.

Towarzysze, którzy razem ze mną przyszli, rozbiegli się po wsi szukać mieszkań, przedtem jeszcze umówili się, kto z kim razem mieszkać będzie. Tylko tow. Hoppe nie miał ani grosza pieniędzy, ani przyjaciela, któryby chciał dzielić się z nim w biedzie kawałkiem suchego chleba.

Miałem przy sobie jeszcze przeszło pięć rubli gotówki. Zapropo nowałem przeto tow. Hoppemu zamieszkanie razem ze mną, dopóki nie otrzyma pieniędzy od rodziny. Najęliśmy pokój. Moje zasoby pieniężne nie mogły starczyć na długo. Oszczędzaliśmy, jak mogli. Żywiliśmy się tylko chlebem i herbatą. Na szczęście Sasza Zwierew udzielił mi kredytu w swym sklepiku.

Po miesiącu biedowania tow. Hoppe otrzymał z domu pieniądze, a wkrótce i ja dostałem pieniądze i przesyłkę z ubraniem.

Dla zrozumienia przestrzeni syberyjskich przytoczę nieco cyfr:

Powierzchnia Jenisejskiej guberni wynosi 2 556 756 km², powierzchnia zaś Anglii, Francji, Niemiec i Polski razem – 2 539 000 km². Powierzchnia całej Syberii – 12 500 000 km², Europy – 10 000 000 km²,

Rosji Europejskiej – 6 000 000 km², Polski – 388 000 km², woj. pomorskiego – 16 400 km², Bielskiej wołości (gminy) – około 10 000 km².

Z Pirowska, gdzie mieszkałem, do Warszawy, jak również i do Władystoku, było około 6 000 km, do najbliższego miasta Jenisejska 130 km, do najbliższej stacji kolejowej w Aczyńsku 260 km, do Krasnojarska 350 km, do urzędu gminnego w Białej (Bielskoje) około 31 km.

Wiśła ma 1 090 km długości, a długość Jeniseju od źródeł w Mongolii do ujścia do Oceanu wynosi przeszło 5 200 km, szerokość – w Krasnojarsku około 1 km, w dole zaś rzeki 12–15 km. Podczas roztopów wiosennych Jenisej przy ujściu rozlewa na 50 km szeroko.

6. Długi

Jak prędko niektórzy Polacy na zesłaniu – i do tego, niestety, nie tylko ludzie prości, bez nauki i „ogłady” – zapominali ojczystego języka, co zawsze pociąga za sobą zaturę poczucia odrębności narodowej, a przeto i zobojetnienia dla spraw polskich, niechaj posłuży następujący przykład.

Na osiedleniu w Bielskiej wołości, prócz nas kilku Polaków socjalistów, było dwóch młodzieńców z endeckiego Narodowego Związku Robotniczego¹⁸. Jeden z nich, młody elektrotechnik z Warszawy, nosił pseudonim „Długi”. Nazwiska jego nie znałem. W pierwszym roku zesłania spotkałem się z nim parę razy. Po jakimś czasie straciłem o nim wiadomość; zresztą trzymaliśmy się w ogóle z daleka, czego przyczyną były bez wątpienia między innymi także i różnice w zapatrywaniach politycznych. Dopiero w czwartym roku zdarzyło się, że się z nim spotkałem.

Wracając z tajgi, dokąd jeździłem z czałdonami na polowanie na niedźwiedzia, wstąpiłem do wsi Buszuju na popas, jak zwykle, do znajomego czałdona Siemiona. Gospodarz poprosił mnie do izby obiecując, że koniem zajmie się robotnik „Genrych”! Na pytanie, co to za Henryk, odpowiada mi:

– Zesłaniec. Z waszych.

Nie słyzałem o żadnym towarzyszu Henryku, przypuszczałem

¹⁸ Dawny NZR programem niewiele się różnił od dzisiejszej NPR. NZR – Narodowy Związek Robotniczy, narodowo-chrześcijańska partia robotnicza, działająca w latach 1905–1920.

NPR – Narodowa Partia Robotnicza działała w Polsce w latach 1920–1937 – przyp. red.

zatem, że to jakiś nieznajomy zesłaniec kryminalny, zapewne niemieckiego pochodzenia. I nie wypytywałem się więcej o niego.

Gospodyni nastawiła samowar. Usiedliśmy do śniadania.

Na Syberii panują demokratyczne, patriarchalne obyczaje: do stołu zasiada pospołu cała rodzina, goście i służba. Przyszedł i Henryk. Zapytałem go, czy dał koniowi siana. Odpowiedział mi po rosyjsku, abym się nie kłopotał, bo o koniu pamięta, jak o własnym.

Jak zwykle przy stole rozmowa toczyła się o różnych sprawach. Gospodarz nazywał mnie panem, bo pod tym „imieniem” powszechnie znany byłem w okolicy. Niektórzy czałdoni, uważając, że „pan” to jest imię własne, mówili mi „Pan Aleksandrowicz” czyli Pan syn Aleksandra, zamiast Stefan Aleksandrowicz.

W rozmowie przy stole brał udział także Henryk. W pewnym momencie wspomniał coś o Polsce. Na moje pytanie skąd pochodzi, odpowiedział:

– Z Warszawy.

Wtedy przypomniałem sobie nagle, że go znam. Poznałem go: był to „Długi”. Jednocześnie uświadomiłem sobie, że on musiał mnie poznać, gdy mnie tylko zobaczył. A przecież mówił do mnie po rosyjsku... Byłem tym oburzony! Zwróciłem się do niego z wymówką:

– Teraz dopiero poznałem Was. Jesteście przecież „Długi”. Wyście mnie jednak poznali wcześniej! A dlaczego rozmawialiście ze mną po rosyjsku, a nie po polsku?

– Prawda! Poznałem Was od razu! Nie mówiłem po polsku, bo odwykłem od polskiego języka, zapomniałem już. Tak dawno nie mam go w użyciu.

Mówił kiepsko po polsku. Zapomniał swego języka już po 3 latach pobytu na Syberii.

– Do Mioduszewskiego zapewne chodzicie? Czy z nim nie rozmawiacie po polsku?

– Chodzę do Mioduszewskiego, ale rozmawiamy po rosyjsku.

Nie rozumiałem, jak Polak mógł rozmawiać z Polakiem po rosyjsku, a nie po polsku. Uważałem to za występek względem Ojczyzny, za postępek niegodny, oburzający. A jednocześnie żał mi się zrobiło „Długiego”. Młody chłopak... Sam na obczyźnie... Wynaradawia się... Może stanie się z czasem Moskalem, rozpije się, ożeni się z czałdonką... Dzieci będą już Moskale, może wrogo do Polaków usposobione... Dopuszczać do tego nie można!

Przemówiłem do „Długiego” przyjaźnie, jak mogłem najserdeczniej:

– Niedobrze, „Długi”, że z Polakami rozmawiacie po rosyjsku. Z Rosjanami tym bardziej po polsku rozmawiać nie będziecie i wkrótce zapomnicie zupełnie języka ojczystego. A z językiem zatracicie zupełnie poczucie odrębności narodowej, przestaniecie myśleć po polsku, wynarodowicie się, przyjmiecie kulturę rosyjską, rozpijecie się, ożenicie się z czałdonką i będziecie mieli zamkniętą drogę do Polski. Rozumiecie, że nasza kultura jest wyższa od rosyjskiej. Przyjmować kulturę niższą to samobójstwo moralne!

„Długi”! Tak niedawno chełpiliście się, że jesteście Polakiem, patriotą. Walczyliście o Polskę, gotowiście byli życie za Polskę oddać. Ideałem Waszym była Wolność i Niepodległość. Ideały te nie są osiągnięte. Walka o nie trwa jeszcze, choć może ze słabym chwilowo nateżeniem. Nie bądźcie jednym z tych, którzy się z walki wycofują! Nie przestańcie być Polakiem! Języka przede wszystkim nie zapominajcie! Czytajcie książki! W miarę możliwości czytajcie gazety polskie! Nie traćcie łączności z Polską, abyście się nie stali Moskałem!

Przekonałem go. W kilka dni potem „Długi” przyszedł do mnie do Pirowska piechotą z prośbą o polskie książki i gazety. Został uratowany dla Polski. Ale nie każdy Polak, co znalazł się w analogicznym położeniu i warunkach, spotyka na swej drodze „międzynarodowego” socjalistę polskiego, który mu przemówi do serca i do przekonania, przedstawi wyższość kultury polskiej, przypomni o obowiązkach względem Ojczyzny, dowiedzie konieczności walki o wolność i niepodległość Polski!

Zdawałoby się, że najmniej trzeba było zwracać na to uwagę endeckiej młodzieży z Narodowego Związku Robotniczego. A jednak!

Mógłbym dużo przytoczyć przykładów obojętności Polaków na Syberii, nawet wykształconych, z inteligencji, na polskie sprawy narodowe, na zagadnienia językowe, na kwestię Niepodległości. Spotykałem na Syberii Polaków przeważnie nie chcących mówić po polsku lub z reguły nie mówiących po polsku w obecności Rosjan. Może był to strach przed urojoną stratą materialnych korzyści, a może jakiś dziwny, dla mnie wręcz niezrozumiały wstyd.

W dalszym opowiadaniu nieraz jeszcze powrócę do tej bolączki. Teraz muszę dokończyć opisu podróży do wsi, wyznaczonej mi na miejsce stałego pobytu.

7. Sasza Zwierew. Niesnaski wśród politycznych i sąd

Zesłani z wyroków sądowych na osiedlenie na Syberji przestępcy – tak polityczni, jak i kryminalni – nie mieli prawa opuszczać w ciągu pierwszych 6 miesięcy granic wołości, czyli gminy, do której zostali deportowani. Natomiast w wyborze miejsca zamieszkania¹⁹ w obrębie danej wołości nie byliśmy – przynajmniej w pierwszym roku – krępowani.

Korzystając z tej wolności, dużo towarzyszy i towarzyszek zamieszkało w Białej²⁰ przeważnie dlatego, że tam można było otrzymywać listy i gazety, względnie pieniądze i przesyłki zaraz po przywiezieniu poczty z Jenisejska. Do innych zaś wsi poczta była rozsyłana przez urząd gminny, gdy się okazała zdarzyła, nieraz z dużym opóźnieniem.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak bardzo, z jakim upragnieniem były przez każdego z nas wyglądane listy od dalekiej rodziny, wiadomości od swoich najbliższych. Toteż z każdej wsi towarzysze ciągnęli co sobota do Białej, aby tylko dostać pocztę jak najprędzej. Nie zważając na pogodę czy słońce, upał czy zimno, szli piechotą po 10, 20, 40 a nawet 60 wiorst. A jakżeż było niewymownie przykro, jakżeż okropnie smutno, gdy którego spotkał zawód, bo oczekiwane listy nie nadeszły!

Otrzymawszy pocztę, spieszyli towarzysze z powrotem do swoich wsi, niosąc z sobą listy i gazety dla pozostałych tam towarzyszy.

Taka wędrówka do Białej po pocztę powtarzała się, co tydzień. Czasu wolnego mieliśmy dużo. Mało który z towarzyszy miał pracę. Najprędzej znaleźli pracę stolarze. Z założeniem warsztatu stolarskiego niedużo było trudności: kawałek dachu nad głową, trzy zbite deski przymocowane do mocnych nóżek – ot i warsztat gotowy! Topór, hebel, dłutko, jaką taką piłkę nie trudno było pożyczyć od gospodarzy, bo trzeba przyznać – czałdoni nie są nieuczyci, pożyczali co mieli.

W ten sposób w Pirowsku, gdzie osiadło przeszło 50 towarzyszy, wkrótce po przybyciu założyli warsztaty stolarskie tow. Borodaczew oraz nauczyciel tow. Odincew. Robili ule ramowe. Roboty mieli spo-

¹⁹ Wyznaczona zesłańcowi przez władzę administracyjną wieś była jego „miejszem stałego pobytu”. Miejsce „czasowego zamieszkania” wolno było zmieniać.

²⁰ Z Białej, gdzie była wołość (urząd gminny), raz na tydzień jeździł do Jenisejska na pocztę specjalny goniec, stójka, utrzymywany przez gminę.

ro, nieraz nawet tak dużo, że w swych warsztatach zatrudniali innych towarzyszy, jako pomocników.

Oprócz stolarzy pracowali tracze i cieśle. Tow. Palcew, który znał niemal każde rzemiosło, najał się do rżnięcia desek w parę godzin po przybyciu do wsi. Także cieśla tow. Rumiancew²¹ miał pracę prawie zawsze.

Trudniej było z założeniem warsztatu ślusarskiego, bo narzędzia są stosunkowo drogie, samemu ich zrobić ani na miejscu kupić nie można było: trzeba je było sprowadzać z Jenisejska lub innego dalekiego miasta. W Pirowsku było kilku ślusarzy. Na założenie warsztatu pieniędzy nie mieli. Dopomógł im Sasza Zwierew.

Aleksander Fiodorowicz Zwierew, zwykle zdrobniale Saszą Zwierowem zwany, dużo okazywał pomocy politycznym zesłańcom i rzetelnie zasłużył sobie na szczególnie pochlebną wzmiankę.

Sasza nie miał wprawdzie tyle gotówki co pan Mioduszewski z Buszaju, ale w całym znaczeniu tego wyrazu był bardzo zamożnym gospodarzem. Obsiewał dużo gruntu, miał dobry inwentarz. Jego okazały, piętrowy dom był największy we wsi, a jego sklepik lepiej niż inne zaopatrzone w towary.

Do swej pasieki Sasza pierwszy w całej okolicy sprowadził ule ramowe. Jeździł do Jenisejska, Aczyńska i Krasnojarska. Był, jak to się mówi, chłop obyty, a przy tym rozumny. Jego zdanie dużo znaczyło między czałdonami. Lubił innowacje i popierał postęp. Eserzy uważali go za swego sympatyka. Politycznym zesłańcom okazywał dużo współczucia, zrozumienia i pomagał w różny sposób, udzielając kredytu w swym sklepiku, jak również i rad praktycznych. Niejeden jemu zawdzięcza, że pierwsze, ciężkie tygodnie pobytu na zesłaniu przetrwał jako tako. Mnie na przykład Sasza Zwierew, nie czekając na moją prośbę, sam zaproponował korzystanie z tak bardzo potrzebnego kredytu, o którym wyżej wspomniałem, a bez którego musiałbym razem z tow. Hoppem niejeden dzień głodować.

Sasza Zwierew dostarczył grupie towarzyszków, pomiędzy którymi było trzech ślusarzy, dwóch blacharzy i kowal, narzędzi i surowca. Założyli warsztat ślusarsko-blacharsko-kowalski. Roboty mieli

²¹ Towarzysze Borodaczow, Rumiancew, Odincew i wielu innych pożenili się w Pirowsku z czałdonkami. W 1919 r. tow. Borodaczow został rozstrzelany przez bandy Kołczakowskie, zwane oddziałami karnymi. Tow. Rumiancewa dosięgła wraza kula, gdy na łódce uciekał z małym dzieckiem przed pogonią.

bardzo dużo: kuli wozy, przybijali koniom podkowy, robili blaszane piecyki, reperowali strzelby myśliwskie. Zakład był spółdzielnią na zasadzie spółdzielni wytwórczych, ale organizacja pracy szwankowała i z podziału zysków nie wszyscy byli zadowoleni. Jedni pracowali dużo i dobrze, drudzy nie umieli czy lenili się pracować. Na tle podziału dochodów powstały nieporozumienia, które wkrótce zamieniły się w niesnaski, spory, awantury...

Razu pewnego, gdy wrócono po obiedzie do warsztatu, spostrzeżono brak najdroższych i najniezbędniejszych narzędzi: śrubsztaka i innych. Trudno było przypuszczać o kradzież, dokonaną przez nieznanego sprawcę. Zgodzono się, że to była złośliwa psota, mająca na celu rozbicie spółdzielni. Podejrzenie padło na kowala, tow. Romana Pożidajewa, że to on wyniósł i ukrył narzędzia. Towarzysze wyznaczili komisję śledczą. Na sąd zebrali się prawie wszyscy zesłańcy polityczni z Pirowska.

Kradzież narzędzi dokonana została podczas przerwy obiadowej. Świadkowie z całą ścisłością wykazali, gdzie i jak długo przez ten czas przebywał oskarżony kowal Roman. Nie można było tylko ustalić, co robił w ciągu krótkich 10 minut pomiędzy wyjściem z mieszkania i spotkaniem się z innym towarzyszem. A na pójście do kuźni i ukrycie narzędzi w krzakach lub wrzucenie ich do rzeki, mogło wystarczyć akurat, co najmniej 10 minut czasu.

Roman nie przyznał się do winy. Z jego wyglądu, wyjaśnień i tłumaczenia się widać było, że jest to człowiek zupełnie nieinteligentny, nie umiejący wypowiadać swych myśli. Pisać nie umiał, a mówił trudnym do zrozumienia chłopskim narzeczem²². Przy tym był widocznie wylękniony, bo być może wyobrażał sobie w swojej naiwności, że nasz sąd może go skazać na śmierć i wyrok będzie wykonany.

Przewodniczący komisji śledczej, w jednej osobie także przewodniczący zebrania, tow. Ałtufjew, dowodził winy Romana, ten zaś bronić się nie potrafił, a obrońcy nie miał. Zebrani na sąd towarzysze i towarzyszki byli tego samego, co przewodniczący, zdania. Był to w ogóle charakterystyczny objaw, że na wszelkich ważniejszych zebraniach towarzysze Rosjanie się nie wypowiadali, bo może nie mieli, swego zdania, ale albo uchwalali, co przewodniczący proponował, albo też prosili o odroczenie rezolucji do następnego zebrania, niby dla głębszego zastanowienia się.

²² Mówił np. po rosyjsku: *hfeldszer* zamiast *feldszer* (felczer), *skusnyj* zamiast *wkusnyj* (smaczny), *wiedmied'* zamiast *miedwied'* (niedźwiedź).

Po zamknięciu przewodu sąd udał się na naradę. Wykonano to w ten sposób, że kazano Romanowi wyjść za drzwi, a wszyscy sędziowie, czyli prawie cała nasza kolonia zesłańców, pozostali w stacji. Na pytanie przewodniczącego, czy sędziowie uznają Romana winnym kradzieży narzędzi, wszyscy odpowiedzieli twierdząco, tylko ja jeden, choć Romana nie znałem i nigdy z nim jeszcze nie rozmawiałem, dowodziłem, że dowody winy są oparte na kruchych podstawach, które Roman, gdyby był inteligentniejszy, łatwo mógł obalić, twierdząc, że przez 10 minut, kiedy nikt go nie widział, robił coś takiego, czego się zwykle przy świadkach nie czyni. Choć mówiłem wtedy po rosyjsku jeszcze bardzo kiepsko, przekonałem towarzyszy i postanowiono uważać winę Romana za nie dowiedzioną, lecz możliwą.

W parę lat po tym przyszedłem do przekonania, że jednak było uzasadnione podejrzenie, iż sprawcą kradzieży narzędzi był nie kto inny tylko Roman.

Na wiosnę następnego roku przyjechał ojciec towarzyszy Romana i Wasilja Pożidajewych i dał pieniędzy na założenie kuźni. Kuźnia prosperowała dobrze. Po jakimś czasie tow. Wasilij wyjechał. Roman dorobił się. Wybudował sobie ładny dom, ożenił się z ładną dziewczyną, córką „nowosiola”, czyli imigranta rosyjskiego.

Dla mnie Roman był zawsze uprzedzająco uprzejmy. Gdy miałem w kuźni jaką robotę, starał się wykonać ją jak najprędzej i jak najlepiej, liczył mi zaś bardzo tanio. Kiedyś nareszcie powiedział mi, że czuje dla mnie szacunek i wdzięczność za bezinteresowne wystąpienie na sądzie w jego obronie, gdy wszyscy towarzysze byli przeciwko niemu. Stojąc wtedy za drzwiami, słyszał całą naradę sądu.

8. Pan Mioduszewski. Powstaniec z 1863 roku

We wsi Buszuju o 20 kilometrów od Pirowska, gdzie miałem naznaczone miejsce stałego pobytu, mieszkał pan Włodzimierz Mioduszewski, powstaniec z 63 roku.

Był młodzieńcem osiemnastoletnim, gdy został zesłany na Sybir. Na osiedleniu był już czterdzieści kilka lat. W pierwszych latach cierpiał wielką biedę, wręcz nędzę, zresztą jak przeważna ilość polskich zesłańców. Pracował ciężko. Próbował rozmaitych robót. Wziął się nareszcie do handlu bydłem, które za otrzymane od hurtownika pieniądze kupował u czafdonów i pędził na rzeź do Jenisejska, oddalonego od miejsca zakupów o 100–200 wiorst. A były to czasy najwięk-

szego rozwoju jenisejskich kopalni złota²³, więc zapotrzebowanie w Jenisejsku na produkty spożywcze było duże, a ceny – wysokie. Mioduszewski zarabiał dobrze. Szczęściło mu się. Dorobił się fortuny. Z czasem stał się człowiekiem, jak na stosunki wiejskie, bogatym: liczono jego majątek na kilkadziesiąt tysięcy rubli. W Buszaju miał gospodarkę, pasiekę, sklepik, a w banku – gotówkę. Jednym słowem, stał się „kułakiem”, czyli bogatym chłopem – handlarzem.

Gdy pokłady złota w tajdze się wyczerpały i dostawa produktów dla poszukiwaczy złota przestała się opłacać, Mioduszewski w zapadłej wiosce w Buszaju, z dala od traktów handlowych dużo zarabiał przede wszystkim na skórkach futrzanych, które skupował od myśliwców i odstawiał do sortowni Tonkonogiego w Jenisejsku.

Ciekawa jest historia Tonkonogiego! Będąc zesłany przed wielu laty na Sybir, młody, biedny Żydek Tonkonogij wziął się do handlu. Od wsi do wsi ciągnął saneczki z trochę drobiazgow, które wymieniał przeważnie na skórki, bo gotówki czałdoni czy tubylcy Tunguzi niemal nigdy nie posiadali. Z biegiem czasu zebrał mająteczek i doczekał się nareszcie, że jego sortownia skórek w Jenisejsku stała się jedynym tego rodzaju zakładem. Niezliczone ilości skórek futrzanych o ogromnej wartości z całej Rosji i Syberii przechodziły przez sortownię Tonkonogiego, w której były dobierane, według jakości, barwy, długości włosa, po czym mogły być zszyte w błamy i dopiero wtedy nabierały prawdziwej wartości, jako towar futrzany.

Gdy się wzbogacił, Tonkonogij zasłynął jako filantrop, opiekun zesłańców.

Bolszewicy w 1920 r. „unarodowili” sortownię i przenieśli ją do Krasnojarska, gdzie zapewne i żywota dokonała, jak wiele innych przedsiębiorstw sowieckich. Podczas wielkiej wojny i przy bolszewikach przemysł futrzany powoli podupadał, aż nareszcie zamarł niemal zupełnie z powodu braku... kapiszonów, prochu strzelniczego i strzelb.

W dzień Nowego Roku 1910 (podług nowego stylu) wybrałem się z wizytą do pana Mioduszewskiego. Dzień był ciepły, mrozu nie było więcej niż 10°R, ale zamieć szalała straszna. Droga była zawiana. Tylko wetknięte w śnieg jodłowe gałązki wskazywały, którędy jechać. Wynajęty konik szedł szparko. Może przeczuwał, że wkrótce stanie się moją własnością.

²³ Jenisejskie kopalnie złota były rozrzucone w tajdze południowej i północnej o 400–600 wiorst na północ od Jenisejska.

Stałem przed domem pana Mioduszewskiego.

Jadąc, wyobrażałem sobie, że i dom i jego gospodarz zewnętrznym wyglądem wyróżniają się od innych domów i mieszkańców wsi syberyjskich, nosząc wybitne cechy polskie. Przedstawałem sobie, że zobaczę polską chatę, rozdzieloną sienią na dwie części, z ganikiem na czterech słupkach i ogródkiem przed oknami. Zdawało mi się zupełnie naturalnym, że patriota polski, powstaniec, męczennik i na wygnaniu na dalekim Sybirze pozostanie zawsze takim samym Polakiem, a przeto tak jego dom, jak urządzenie mieszkania, sprzęty i ubranie muszą być takie same jak w Polsce lub przynajmniej podobne. Przez myśl mi nie przeszło, aby mogło być inaczej. Byłem święcie przekonany, że wszystko co polskie jest dużo lepsze i dużo ładniejsze od rosyjskiego. Nie zastanawiałem się, że lepsze jest to, co jest lepiej dostosowane do miejscowych warunków, a dostosowanie staje się kompletniejsze z biegiem czasu po długich, częstokroć zawodnych próbach. O słuszności tego spostrzeżenia przekonałem się, niestety, na własnej skórze, po wielu nieudanych próbach wprowadzenia na Syberii polskich urządzeń i porządków.

Chata pana Mioduszewskiego niczym się nie różniła od innych domów w Buszuju. Zbudowana była z grubych, obdartych z kory nieociosanych okrągłaków, pomiędzy którymi widać było grubą warstwę mchu. Poczerniałe od starości ściany świadczyły, że postawiona była przed kilkudziesięciu laty. Okien miała dużo, w bardzo małych odstępach jedno od drugiego. Wszystkie były zaopatrzone w okiennice, ale nie wszystkie miały zawiasy i nie mogły być przeto otwierane. Okna – nisko nad ziemią, niewielkie o czterech większych i dwóch maleńkich szybach. I sama chata – też nie wysoka. Drzwi wejściowe, jak zwykle – od podwórza, odgrodzonego od ulicy wysokim szczelnym płotem z grubych desek lub zrzynów. Nad wielką bramą i również niemłą, ciężką furką – daszek, spadzisty na obie strony, przypomina wejście na dziedziniec więzienny. Furtkę otwiera się, pociągając za przeciągnięty na zewnętrzną stronę przez małą dziurkę rzemyk, przywiązany do szkobła; na noc wyciąga się rzemyk z dziurki i furki od ulicy otworzyć nie można. Prymitywne, ale dobre zamknięcie!

Otworzyłem wrota, wjechałem w podwórze. Konia uwiązałem, sam wszedłem do chaty. Była to pora obiadowa. Na stole stał samowar. Pan Mioduszewski siedział za stołem na ławie pod oknem, jego żona – na krzeselku przy samowarze, a dalej przy stole – domownicy.

Gospodarz, człowiek dobrego wzrostu o dużej głowie, łysy, z długą brodą, ubrany był jak zamożny czadon, w barchanową w deseń rubachę²⁴, opasaną kolorową tasiemką w rodzaju paska z chwostami, w zgrzebne, samodziałowe szarawary²⁵ i wołłokowe walenki²⁶ na nogach. Przywitał się ze mną uprzejmie, acz nie zauważyłem, żeby był zbyt zadowolony na widok ziomka. Natomiast jego żona, gruba, na jedno oko niewidoma czadonka, nie ukrywała swego nieukontentowania z mojej wizyty.

Pan Mioduszewski mówił po polsku wcale dobrze, jakkolwiek rzadko miał polski język w użyciu. Pochodził z inteligentnej rodziny z Kijowszczyzny. Wcześniej rodzice jego umarli, wychowywał się wraz z siostrą u ciotki. Fotografia ciotki wisiała nad jego łóżkiem.

Siostra wyszła za mąż za chłopca ukraińskiego. Jej syna Stepana pan Mioduszewski, nie mający dzieci, sprowadził do siebie, jako przyszłego spadkobiercę, aby się zajął gospodarstwem. Zapewne niewielką miał z niego pociechę, bo Stepan był nierozgarnięty, nieinteligentny, a wódkę bardzo lubił. Często pił po kilka dni z rzędu i po pijanemu „hulał” po wsi, objąwszy się za szyję z pijanymi rówieśnikami.

Po obiedzie pan Mioduszewski poprosił mnie do małego pokoiku, stanowiącego jego gabinet i sypialnię, umeblowanego niemal po europejsku, wprawdzie bardzo skromnie. Pokazał mi kilka polskich książek, które posiadał; niegdyś prenumerował „Kurjer Warszawski”, ale od jakiegoś czasu zaprzestał.

Posiedziałem u Mioduszewskiego kilka godzin, czas na pogawędce schodził przyjemnie. Rozmawialiśmy o Polsce i o Syberii, o przeszłości i o terażniejszości. Mioduszewski wpadł w werwę, opowiadał mi swe dzieje i przygody, przedstawiał swoją biedę w pierwszych latach zesłania, malował stopniową poprawę losu, wspominał o terażniejszych kłopotach. Zapatrywania swoje na przyszłość ujął w słowach:

– Polska już pewnie Polską nie będzie!

A na to odrzekłem:

²⁴ Rubacha lub rubaszka – koszula, noszona, jako ubranie wierzchnie, w rodzaju bluzy, w odróżnieniu od „soroczki”, czyli koszuli, jaką noszą Europejczycy.

²⁵ Szarawary – spodnie.

²⁶ Walenki lub pimy – obuwiu wołłokowe naturalnego koloru sierści lub malowane na czerwono w deseń.

– A czy mogą pójść na marne wysiłki nasze? O wolną Polskę walczył Pan i powstańcy 63. roku, walczyli nasi ojcowie i dziadowie, i my teraz, socjaliści polscy, o Wolność i Niepodległość walczymy. Nasza walka, wysiłek, męka, krew, ofiara plon wydać muszą. Po nas przyjdą nowi szermierze i dokonają przez nas i naszych ojców poczętego dzieła wyzwolenia. Wcześniej czy później! Tak, Panie! Polska jeszcze nie zginęła!

– Daj Boże! – rzekł stary powstaniec i nieznacznie strząchnął palcem łzę z oka.

Nie przypuszczałem wtedy nawet, że nasze marzenia tak prędko się ziszczą. W dziewięć lat po tej rozmowie niepodległość Polski była faktem dokonanim, a w 12 lat wróciłem szczęśliwie do wolnej Ojczyzny.

Niepodległa, suwerenna, wolna, demokratyczna Rzeczpospolita Polska! Nie da się opisać uczuć, nie da się opowiedzieć wzruszeń, jakie przeżywaliśmy na Syberii na wiadomość, że nareszcie, że już jest wolna! I nie tylko wolna, ale i demokratyczna! Nie ma już Moskali w Polsce! Nie ma prześladowania narodowościowego ani za przekonania polityczne! Skończyła się samowola rosyjska! Więzić bez sądu nikogo nie wolno! A sądy są polskie, sprawiedliwe, niezależne! Opustoszały więzienia, pusta Cytadela, Brześć i inne katownie! I katów nie ma, bo żaden Polak katem przecież nie będzie! Katami, oprawcami mogą być podlece najrozmaitszych narodowości, ale nigdy Polacy!

Rosyjskich rządów w Polsce już nie ma. Rząd składa się z Polaków, ludzi zasłużonych, nie karierowiczów lub protegowanych paniczów. Panuje sprawiedliwość, wolność i demokracja. Droga do socjalizmu otwarta.

Wracając z wygnania taką sobie wolną Polskę przedstawiałem.

Czy rzeczywiście jest taka? Czy weterani walk o Niepodległość i Wolność mogą w Polsce powiedzieć słowami pisma: „potykaniem dobrem potykałem się”²⁷, bo oto spełniły się nasze marzenia i mamy prawdziwą wolność? Czy mogą spokojnie patrzeć na to, co się obecnie w Polsce dzieje? Czy sumienie nie każe im zbierać resztki sterynych sił i dalej walczyć o stare hasła i ideały, i przykład dawać młodemu pokoleniu w walce o utrwalenie zagrożonej Niepodległości, Wolności, Równości, Sprawiedliwości i Braterstwa?

²⁷ „Potykaniem dobrem potykałem się, zawodum dokonał, wiarem zachował”, List wtóry świętego Pawła Apostoła do Tymoteusza, 4, 7 – przyp. red.

9. Mrozy syberyjskie

Gdy w roku 1905 Mioduszewski otrzymał pełne prawa włościańskie i, co za tym idzie, paszport do Rosji Europejskiej, pojechał z żoną do swej siostry w Kijowie. Widocznie przedstawiał sobie strony rodzinne w o wiele lepszym świetle, niż to było rzeczywiście, bo w jego opowiadaniu czuć było rozczarowanie. Na moje pytanie, jakie na nim zrobiła wrażenie podróż do stron rodzinnych, czy spodobało mu się tam po tylu latach niewidzenia, odrzekł:

- Nie. Tam mi się teraz nie podobało.
- W szczególności, co takiego?
- Hm. Tam tak zimno.... bąknął niezdecydowanie.

Można sobie wyobrazić jak bardzo był zdziwiony: zimno mu w kijowskiej guberni, a na Syberii: ciepło. Nie rozumiałem jak to powiedzenie sobie wytłumaczyć, tym bardziej, że gdym odjeżdżał, uprzejmy gospodarz wyprowadził mnie na podwórze tak jak stał w izbie, w jednej tylko rubaszce i z gołą głową, usadowił mnie w saniach, otulił pledem, otworzył, a potem zamknął za mną wrota, co trwało ładne przecież kilka minut i było mu ciepło. A w kijowskiej guberni – zimno.

Dopiero, gdyśmy w dwanaście lat potem wracali do Polski, przekonałem się, że Mioduszewski miał rację, ale nie umiał uzasadnić swego spostrzeżenia. Nasza podróż z Krasnojarska do Warszawy trwała cztery miesiące, od początku listopada 1921 r. do końca lutego 1922 r., jechaliśmy zatem całą zimą, podczas najcięższych mrozów, wciąż w jednym kierunku ze wschodu na zachód. Na wielu stacjach kolejowych zatrzymywaliśmy się po kilka, a nawet kilkanaście dni. I czym bliżej byliśmy Polski, tym marzliśmy więcej, choć nosiliśmy to samo ubranie, co na Syberii i odżywianie nasze też się prawie nie różniło.

Gdyśmy zwiedzali Moskwę, gdzieśmy stali dwa tygodnie (od 6 do 19 stycznia 1922 r.) podczas dziesięciostopniowych mrozów, czuliśmy tak przejmujące zimno, jakiego nie doznawaliśmy co najmniej podczas 30.- 40. stopni C na przykład w Omsku, gdzie również zatrzymaliśmy się dwa tygodnie. Tam w Omsku, a raczej na jego przedmieściu Kułomzino, na prawym brzegu wielkiej rzeki Irtysz, podczas dużych mrozów, przy ciągłych wiatrach i częstych zamieciach chodziliśmy do sklepów i na bazar, położony w czystym polu, po zakupy i nie marzliśmy tak bardzo. Mróz szczypał w twarz, ręce kostniały, wąsy i kołnierz od kożucha po krótkim czasie pokrywa-

ły się szronem, a nawet lodem, rzęsy przymarzały jedna do drugiej, a jednak... Trudno w to uwierzyć: jednak nie czuło się takiego przykrego zimna, takiego docierającego do szpiku kości ziąbu, jaki przejmie człowieka przy niezbyt niskiej temperaturze w zgnitym, wilgotnym klimacie europejskim.

W Orszy, niemal nad samą granicą Polski, staliśmy prawie trzy tygodnie. I również musieliśmy chodzić po zakupy na bazar, przy stacji lub do miasta, oddalonego o cztery km. A ponieważ gotówka się nam już wyczerpała, trzeba było najczęściej sprzedać najpierw jedną drobnostkę, sztukę bielizny lub część ubrania, aby za otrzymane pieniądze kupić bochenek chleba lub kawałek kiełbasy. Trzeba było, przeto nieraz po parę godzin – często na próżno – dreptać po rynku.

– Co za paskudne zimno. Gorzej niż na Syberii. Czemu to przypisać? Przecież mrozu nie ma więcej niż 4–6 stopni R.

I zastanowiwszy się, trzeba było dojść do wniosku, że przyczyna tkwiła w różnicy wilgotności klimatu. Na Syberii, gdzie klimat jest suchy, kontynentalny, mróz nawet silny do 50 stopni C nie jest trudny do wytrzymania. Natomiast w Rosji lub w Polsce i w ogóle w Europie przy dużej wilgoci w powietrzu, mały, kilku- lub kilkunastostopniowy mróz bardziej daje się człowiekowi we znaki, przejawia się, jak się to mówi, do szpiku kości. Mioduszewski miał rację. Tak. W Europie zimniej niż na Syberii!

Dosyć powiedzieć, iż przy 15–20 stopniach C mrozu na Syberii pracowałem na dworzu najczęściej bez rękawic: rąbałem drwa, nakładałem siano ze stogu na sanie, a przy 10 stopniach przy takich pracach zdejmowałem nie tylko kożuch, lecz nawet i marynarkę. I nie przeziębiałem się. A cieplej, wełnianej koszuli nie nosiłem przez cały czas pobytu na Syberii. W Polsce zaś przed zesłaniem stale ubierałem się w zimie w wełnianą bieliznę.

Albo na przykład kąpiel w zimie w chłopskiej bani²⁸. Czyśmy to kiedy zwracali uwagę na pogodę? Szło się do bani i podczas mrozów i w największą zamieć. Nawet wtedy, w podróży, gdyśmy stali w Kułomzinie pod Omskiem na brzegu Irtysza, skorzystaliśmy ze sposobności, że można się było wykąpać w prywatnej łaźni. Pomimo trzydziestostopniowego mrozu i strasznej, jak rzadko na Syberii

²⁸ Bania – łaźnia parowa. Na Syberii niemal każdy czajdon ma własną, maleńką banię, niejednokrotnie nie przy domu, lecz z dala od zabudowań, w pobliżu rzeki.

zamieci pobrnąłem z żoną i 8-letnim synkiem po zawianej śniegiem ścieżce do bani, oddalonej od naszego eszelonu o dobry kilometr. I pomimo że okno i nie domykające się drzwi bani były oblepione grubą warstwą lodu, a podłoga była nie mniej zimna, wykąпалиśmy się, wymyli i bezpośrednio po kąpieli wróciliśmy do eszelonu. I nie uważaliśmy tego za coś nadzwyczajnego i niebezpiecznego. Natomiast, gdy nam w Moskwie kazano iść do łaźni przy 10 stopniach mrozu ociągałiśmy się, bojąc się przeziębienia.

Ot, jaka różnica. Przy 10 stopniach mrozu w Europie jest gorzej zimno niż przy 25–30 stopniach na Syberji.

Dopiero mróz ponad 40 stopni daje się odczuć, a widomym znakiem takiego mrozu, o ile nie ma wiatru, jest mgła: czym większy mróz, mgła jest gęściejsza. Starzy Sybiracy twierdzą, że teraz dużych mrozów na Syberji w ogóle nie ma. Iwan Polaczok²⁹ zesłany na Syberię około 1880 roku m.in. opowiadał:

– Ho, ho, co to teraz za mrozy! I porównania nie ma z tym, co było przed laty. Mrozy bywały takie siarczyste, że idąc za saniami konia widać nie było, bo mgła zasłaniała. A przy zaprzęganiu trzeba było ręce polewać spirytusem, aby nie zgrabiały³⁰.

Czy Iwan Polaczok nie przesadzał, sprawdzić nie mogłem. Natomiast z opowiadań i z własnego doświadczenia przekonałem się, że nawet najtęższy mróz można wytrzymać bez szczególnych przykrości, o ile nie ma wiatru. Ale przy wietrze – dotrze do skóry pomimo najlepszego odzienia.

Pewnego razu mój spirytusowy termometr z podziałką Reumura do 43 stopni poniżej zera wskazywał mróz akurat 43 stopnie R. Gęsta mgła pokrywała ziemię. Dymy z kominów wznosiły się wysoko, prościutko do nieba. Zimno było, ale można powiedzieć – nie nadzwyczajnie. Na drugi dzień było 41 stopni R, ale dał silny wiatr i wtedy już naprawdę trudno było wytrzymać: idąc lub jadąc pod wiatr, miało się uczucie jakby smagania biczem po twarzy.

Zima w 1915 roku była tęga. Mieszkałem wtedy w Jurdze blisko Bołotnego. Miejscowość bezleśna, ciągłe wiatry, śniegu na stepie niewiele, tylko tyle, ile się w trawie utrzyma, bo choć śnieg pada często, wiatr go zmiata w wąwozy, krzaki i lasy odległe. Pewnego dnia

²⁹ Jan Żórawik z Siedleckiej guberni, przezwany Iwanem Polaczkiem.

³⁰ Zawiązywać rzemienie przy zaprzęganiu koni w rosyjską uprząż można tylko gołymi rękami. Nie da się tego uczynić w grubych, podwójnych rękawicach o jednym palcu, jakie chłopci noszą na Syberji.

z polecenia mego chlebobdawcy wybrałem się świtem do położonego o 10 wiorst Szytikowa. Mróz był duży. Koniowi narastały lodowe sople u nozdrzy. Mógłby się od nich udusić. Musiałem przeto wysiadać często z sań, aby mu te sople obetrzeć. Gdym o wschodzie słońca zajechał do wsi, słyszałem narzekania.

Dziwiłem się, bo w drodze zbytniego mrozu nie odczuwałem. A było tak dlatego, że przed wyjazdem napiłem się gorącej herbaty, a moja docha (podwójne futro) była należycie wygrzana. Po powrocie do domu dowiedziałem się, że tego poranka mróz wynosił 48 stopni R, czyli 60 stopni C. I znowu dziwiłem się, jak to chłopci na wsi mogli wyczuć, że mróz był niebywały. Bo ja, jak w ogóle każdy inteligent, nie umiałem bez termometru określić, jaka jest temperatura, a bez zegarka ustalić, która godzina. Chłopi zaś dobrze się w tym orientują, choć takich przyrządów nie mają.

W okolicach, gdzie mieszkałem, rzadko się zdarzał mróz 60 stopni C. Przeważnie bywało nie więcej niż 40–45 stopni C. W Jenisejsku mrozy ponad 50 stopni C trzymają nieraz po parę tygodni niemal bez przerwy, a jednak ludzie tam żyją.

Największy mróz, o jakim wiem, zdarzył się w roku 1919 w styczniu. Wychodząca w Tomsku gazeta „Sybirskaja Żizn” opisywała to zjawisko mniej więcej w taki sposób: „Z Oceanu Lodowatego podniósł się »antycyklon« i posuwa się na południe pasem szerokości około 500 wiorst. Mróz w Jakutach dochodzi do 70 stopni R, czyli 90 stopni C, nawet konie marzną”.

Mieszkałem wtedy w Szytikowie, o paręset wiorst od Nowonikołajewska. Pogoda była słoneczna, bez wiatru, na niebie – ani chmurki. Spirytus w mym termometrze schował się do gałki, było zatem więcej niż 43 stopni R. Czładoni siedzieli po chatach, nie chcieli nawet iść do spichrzy, gdym przyjechał kupować owies.

Z gazety dowiedziałem się, że w Tomsku było wtedy 56 stopni R, czyli 70 stopni C. Jeden z mych znajomych, oficer 5. Dywizji Wojsk Polskich na Syberii, opowiadał mi, że w nocy tego dnia, gdy na jednej ze stacji pod Nowonikołajewskiem chciał wysiąść z pociągu, to po otworzeniu drzwi wagonu uczył nagle jakby maskę na twarzy, a skórzana rękawiczka na ręku momentalnie stwardniała. A nie był to jeszcze środek mroźnego pasa, którym posuwał się „antycyklon”. I pomimo tak silnego mrozu, ani ludzie, ani ptaki i zwierzęta nie wymarзли i nie wyginęli.

10. Nędza i niedostatek

Pierwsza zima, którą spędziłem na Syberii była wyjątkowo łagodna, może w związku z kometą Halleya, która przez kilka tygodni świeciła na niebie. Kometę odznaczała się nadzwyczaj wielkim ogonem. Wierzący i zabobonni z jej pojawienia się wyciągali różne prognozytyki. Mówiono m.in., że wielki ogon oznacza wielką różgę na cara i jego rządy.

Lekka zima była szczególnym błogosławieństwem dla nas zesłańców: byliśmy przecież przeważnie niezabezpieczeni należycie od syberyjskich mrozów, nie mieliśmy w większości wypadków ani odpowiedniego ciepłego ubrania, ani środków do życia, ani jakiegokolwiek perspektywy na przyszłość.

Do Bielskiej wołosci, zajmującej obszar równy prawie czwartej części byłej Kongresówki, a zamieszkaanej przez mniej więcej siedem tysięcy mieszkańców, zesłano w lecie i jesienią 1909 r. ponad trzysetu zesłańców politycznych. Był to element różnolity, począwszy od chłopów rosyjskich, skazanych za samowolny podział dworskich gruntów, masowy wyręb lasów lub palenie obywatelskich dworów, a kończąc na literatach, nauczycielach i lekarzach. Niektórzy, ale bardzo nieliczni, znaleźli pracę i zarobek przy koszeniu trawy i innych robotach polnych, inni poszli na jesieni gromadami do tajgi na szyszki cedrowe³¹. Ale były to w ogóle nędzne zarobki. Rzemieślnicy, których na Syberii, a w szczególności na północy dotkliwie brakowało, mogli nieźle zarabiać, lecz przeważnie nie mieli środków na założenie warsztatów pracy. Położenie inteligentów było jeszcze gorsze: nie tylko nie znajdowali na wsi zajęcia i zarobku, ale z trudnością mogli dostosować się do nowych warunków życiowych.

W szczególności w początkach bieda panowała między nami ogromna. Mało który z zesłańców, wychodząc z więzienia, miał przy sobie pieniądze. Poczta kursowała tylko raz na tydzień, a szła do Rosji względnie do Polski trzy tygodnie. Odpowiedź na list otrzymywało się dopiero po upływie półtora miesiąca! A tu, jak rzekłem,

³¹ Cedr, ładne wysokie drzewo o długich igłach, ma szyszki podobne do sosnowych, lecz parę razy większe, w których znajdują się ziarenka wielkości grochu cukrowego, o smaku orzechów laskowych z żywicznym zapachem. Cedrowe orzeszki stanowią przysmak syberyjski i rosyjski oraz przedmiot handlu. Szyszki zbiera się pod drzewem, w które ludzie walą ogromnym drewnianym młotem. Najlepszy, częstokroć stosowany na Syberii, choć przez Ochronę Lasów zakazany, sposób polega na ścięciu cedru i bez zbytej pracy i mitręgi obraniu wszystkich szyszek.

brakowało nam wszystkiego. Prócz więziennego ubrania cały majątek niejednego z zesłańców przyniesiony z sobą do wsi stanowił kubek do herbaty i drewniana łyżka. Ubranie, jakie otrzymaliśmy na własność w więzieniu, nie było bynajmniej wykwintne: zgrzebne płócienne spodnie, dwie także koszule i dwie pary onuczy, płytke skórzane pantofle, zwane „kotami”, czapka bez daszka i płaszcz z szarego aresztanckiego sukna. I w tym ubraniu niejednen z zesłańców musiał przebiedować całą zimę! Cóż było robić?! Skąd wziąć pieniędzy? Zarobków – żadnych lub tylko nieznaczne, dorywcze. Położenie nie do pozazdroszczenia! A żyć przecież trzeba było!

Utrzymanie na wsiach było wprawdzie tanie: np. za pokój płacono rubla miesięczne, za całodzienne utrzymanie u czałdona – 6–8 rubli na miesiąc. Ale i na takie wydatki zesłańcy przeważnie zdobyć się nie mogli. Żyliśmy na ogół nędznie. Mieszkaliśmy zazwyczaj po kilku w jednej stacji, żywiliśmy się, zresztą jak i czałdoni syberyjscy, wyłącznie suchym chlebem i czajem³²; mleko należało do zbytku. Za bochenek chleba żytniego wagi 1–2 kg płaciliśmy 7–15 kopiejek, „krynka”, czyli dzbanek mleka (około 1 i ½ litra) kosztowała zazwyczaj 5 kopiejek.

Ale i tych produktów trudno było we wsi dostać. Sklepiki były wprawdzie w każdej wsi, ale w nich, oprócz trochę soli, cukru, herbaty, zapalek, łoju wołowego do okraszania, kaszy jaglanej, skóry na obuwanie i części uprzęży końskiej nic więcej nie było. Chleb i mleko trzeba było zdobywać u chłopów. A gospodarze niechętnie sprzedawali te produkty w obawie, że im samym zabraknie. Zboże nie zawsze obradzało, nieraz zupełnie wymarzało. A w ogóle tam na północy mało obsiewano, bo chłopcy byli biedni, nie mieli odpowiednich narzędzi rolniczych ani dostatecznego sprzężaju: w użyciu były jedynie ciężkie sochy i drewniane brony. Krótkie lato nie starczało na zoranie większych obszarów pola tak prymitywnymi narzędziami.

W niektórych okolicach Syberii, np. w powiecie Barnaulskim, Kuźnieckim lub Minusińskim czałdoni obsiewali po kilkadziesiąt dziesięcin³³ gruntu przy pomocy czteroskibowych pługów i najnowszych siewników, mieli dobre kosiarki, żniwiarki i młockarnie,

³² Czaj – herbata. Na Syberii używano przeważnie herbaty prasowanej w cegiełki (*kirpicznyj czaj*), którą jakoby chłopcy, jak sami twierdzili, lepiej się „najakali”, to znaczy nasycali, niż herbatą z oddzielnych listków, jaką używamy w Polsce.

³³ Dziesięcina – miara powierzchni, trochę większa od hektara (109 arów).

a koni roboczych trzymali po kilka czy kilkanaście sztuk. Znałem w Zimniku koło Jurgi (o 120 km od Tomska) bogatego chłopca, Tatarzyna Gamadeja, który zaprzęgał do pracy 30 koni, a wszystkich koni razem z młodzieżą miał około 70, przy czym kilka klaczy nie były nigdy zaprzęgane – służyły tylko do wydania na świat zarodowego pokolenia.

Na północy, w Bielskiej i innych włościach, czałdoni trzymali po 3–6 koni roboczych. Koniki te były małe, ale bardzo wytrzymałe. Bieda u północnych czałdonów była na ogół duża. Odżywiali się kiepsko, mięsa prawie nie używali, żadnych zup, prócz kapuśniaku³⁴ nie znali, jedli tylko chleb i pili czaj. Ale tego chleba niejednokrotnie także nie starczało.

Bojąc się braku i głodu, przezorni gospodarze nie pozwalali babom sprzedawać produktów spożywczych, chleba, mleka, jaj. Wymagali jednak od bab, aby dbały o czystość i całość ubrania i bielizny, z tym, że pieniędzy na mydło, igły, nici, tasiemki, guziki itp. nie dawali, bo sami ich przeważnie nigdy nie mieli. Bo i skąd mieli wziąć?

Gdy czałdon zawiózł w zimie do Jenisejska kilkadziesiąt pudów żyta i sprzedał skórki popielicowe upolowane na jesieni, to od razu kupował całą lub połowę skóry bydlęcej na obuwie i uprząż, trochę perkalików na koszule, parę pudów soli i parę funtów cukru na cały rok, rękawice, niekiedy pimy lub czapkę, oddawał dług w sklepiku i... zostawał bez grosza aż do przyszłej zimy. I znowu brał towary na kredyt w sklepiku u kułaka, u którego też nieraz był zmuszony wyprosić pożyczkę w gotówce. I tak, co roku i przez całe życie!... Produkty spożywcze miał własne, choć nie zawsze w dostatecznej ilości, ale pieniędzy stale mu brakło nawet na igły i nici dla baby. Baby zaś bez igieł i nici obejść się nie mogły i starały się po kryjomu przed mężami spieniężyć, czy to krynkę mleka, czy bochenek chleba. Gdy chłop był w domu, gospodyni zwykle głośno odmawiała sprzedaży, ale ukradkiem dawała znak, aby przyjść później, gdy chłop pojedzie w pole.

Prócz chleba i mleka nic innego do jedzenia dostać we wsi od czałdonów nie można było. Masła do chleba czałdoni nie używali i dziwili się nawet jak można jeść „surowe” masło. Do smażenia blinów, racuchów³⁵ itp. i do okraszenia robiono masło topione i to tylko na własny użytek. Kur gospodynie trzymały niewiele, a kaczek i gęsi nie

³⁴ Po rosyjsku – „szczy”.

³⁵ Po rosyjsku – „aładi”.

chowano wcale, bo jakoby nie opłacało się żywienie ptactwa w ziemi, która, jak mówią na Syberii, trwa 13 miesięcy w roku. Jaja bywały tylko w lecie po kopiejce lub taniej za sztukę; na jesieni można było kupić koguta za 5–10 kopiejek, bo cząłdoni kogutów nie jedzą, ponieważ według ich wierzeń w wielki piątek, gdy Chrystusa ukrzyżowano i wszelki „żywiol” zamilkł, śpiewał³⁶ jedynie kogut, o czym wspomina nawet Ewangelia święta.

Bezbożni zesłańcy polityczni nie zważali na wierzenia cząłdonów i jedli niegodziwe koguty, a nawet łapali na strychach i po kryjomu gotowali gołębie, choć jako symbol Ducha Świętego są one uważane przez prawosławnych za święte, nietykalne stworzenia. Z ogromnych stad gołębic po roku pozostały we wsiach niemal tylko wspomnienia.

Z powodu braku produktów wszyscyśmy zesłańcy na ogół kiepsko się odżywiali.

W Białej³⁷, gdzie osiadło kilku Polaków i parę Polek, urządzono wspólną, taną kuchnię: kucharz z Warszawy tow. Rutkowski przy pomocy towarzyszek gotował smaczne obiady, inni towarzysze zajmowali się dostawą produktów, znalazł się też i rzeźnik. W Pirowsku pod względem aprowizacji było gorzej, bo Polaków – oprócz mnie – nie było w tym czasie, a towarzysze Rosjanie nie wykazywali zdolności organizatorskich: radzono i radzono, ale bez skutku; do założenia jadalni nie doszło. Każdy starał się o produkty dla siebie i nie zawsze dostawał.

Nie byłem może nigdy głodny, ale nie można powiedzieć, że się do syta najadał. Niedostateczne pożywienie źle wpływa na usposobienie i humor człowieka, choć sobie z tego sprawy nie zdajemy. W rzeczy samej wszyscyśmy się czuli jacyś apatyczni, przygnębieni. Wprawdzie powodu do wesołości w naszych warunkach być nie mogło, ale zapewne brak należytego pożywienia w pewnej mierze wpływał na nasze usposobienie. Bo oto, gdy po kilku miesiącach niedojadania pierwszy raz podjadłem sobie należycie, to zaraz humor mi się poprawił!

A było tak:

Na wiosnę 1910 r. mego sąsiada, tow. Niemczynowa rodem z Irkucka, odwiedził jego brat i przywiózł koszyk sterladi³⁸, z której

³⁶ Po rosyjsku wyraz „piet” używa się zarówno w znaczeniu „pisać”, jak i śpiewać.

³⁷ Sióło Bielskoje lub Biełaja, gdzie była wołość.

³⁸ Sterlad – niewielka ryba rzeczna, wielkości śledzia, bardzo smaczna, bez ości.

ucha³⁹ należy do prawdziwych przysmaków kuchni rosyjskiej. Tow. Wasilij chełpił się swoją sztuką kulinarną, ale bał się pokpić sprawę, gotując uchę w „ruskim” piecu⁴⁰. Ponieważ ja w swej stacji urządzielęm prymitywny komin kuchenny na podobieństwo europejskich, tow. Niemczynow przyniósł do mnie ryby i wspólnym wysiłkiem, przy pomocy jeszcze dwóch towarzyszy, Hoppego i Kiruszczenki, którzy przypadkowo przyszli do mnie, wyprawiliśmy składkowy obiad, składający się ze wspaniałej uchy, chleba, przypiekanych kartofli i białej kawy. Jadła było obficie, najedliśmy się jak się patrzy! Na deser zapaliliśmy papierosy. Uczta prawdziwa!

Opowiadaliśmy sobie dykteryjki, nabrali humoru, zaśpiewali.

Wtem tow. Michał Nochrin zapukał do okna: przywiózł pocztę z Białej. Oddał listy i gazety mnie i moim gościom, a nasze wesołe twarze i dobre humory nie uszły jego uwagi. Nie znając prawdziwej przyczyny, naturalnie przypuszczał, żeśmy się popili i rozpuścił po wsi wieść, że u mnie była pijatyka. A nasza wesołość pochodziła nie od wódki, lecz z powodu najedzenia się.

Czy syci, nie znający, co to nędza i niedostatek, uwierzą?

11. Na tatarskich posiołkach... Kopanie studzien

Już od dłuższego czasu zmuszeni byliśmy bardzo się w wydatkach ograniczać. Mój drobny handel dawno przestał się opłacać. Zaniechałem go. Pieniądze od rodziny mojej i żoninej przychodziły nieregularnie i w niedostatecznej ilości. Trzeba było podjąć się choćby najgorszej pracy, byle zarobić na utrzymanie.

Na szczęście w Pirowsku osiadł przysłany przez Urząd Ziemiński w Krasnojarsku technik dla przeprowadzenia dróg kołowych między powstającymi w naszej okolicy jak grzyby po deszczu posiołkami imigrantów rosyjskich i dla budowy studzien we wsiach odczuwających brak wody do picia. Technik nazywał się Aleksandr Aleksiejewicz Mazgalewskij. Mówił, że jest wnukiem gen. Mazgalewskiego, polskiego dekabrysty, zesłanego na Sybir za spisek na cara Mikołaja I.

³⁹ Ucha – zupa z ryb, przyrządzona w specjalny sposób, smakiem różniąca się niewiele od naszej zupy rybnej.

⁴⁰ Ruskaja pieczka – piec rosyjski, czyli sabatnik do pieczenia chleba służy także do gotowania potraw. Po wygarnięciu węgla, względnie odsunięciu ich w kącik, baba wsadza do pieca, przy pomocy specjalnych wideł, garneczki z potrawami, które się tam prażą i czasem bywają przegotowane, a czasem niedogotowane. Jak Bóg da i jak starczy ciepłika! Dogłądanie, próbowanie potraw, regulowanie ognia, jak na kominie, jest niemal wykluczone.

Poza tym, żadnych szczegółów, dotyczących dziadka i dekabrystów, nigdy nie opowiadał. Widocznie niewiele wagi przywiązywał do swego pochodzenia. Najwięcej cenił.. wódkę. Rzadko kiedy był trzeźwym.

Na moje usilne prośby Mazgalewski powierzył mi kopanie studzien na tatarskich posesjach o kilkanaście kilometrów od Pirowska. O kopaniu studzien naturalnie pojęcia nie miałem. Ale przecież nie święci garnki lepią. Tatarzy wynajęci przeze mnie znali się na takich robotach. W razie jakichś trudności miałem się o wskazówki i pomoc zwrócić do podobnego jak ja przedsiębiorcy budującego studnie w sąsiednich posesjach. Z rozpoczęciem pracy zaszły jednak trudności nie do przewyciężenia.

Początkowo, po przyjeździe moim na Syberię, cieszyliśmy się dużą wolnością w wyborze miejsca zamieszkania i podróżowania, przynajmniej w obrębie gminy (wołości), do której byliśmy deportowani. Otrzymałem nawet, zawdzięczając szczęśliwym staraniom, paszport na cały powiat Jenisejski. Mogłem bez obawy aresztowania i odesłania „ciupasem” via Jenisejsk z powrotem do Pirowska jeździć na przykład do Kozaczej nad Jenisejem lub do innych wołości. Ale oto w 1911 r. władze zarządziły, że zesłańcy nie mogą pod rygorem aresztu, opuszczać zamieszkałej wsi bez pozwolenia władz lokalnych, to znaczy starosty wiejskiego. Takie zarządzenie było dla nas upokarzające i krzywdzące. Do tego było ono wydane z wyraźnym pogwałceniem prawa. Zesłańcy polityczni zaskarżyli zarządzenie u wyższych władz. Sprawa oparła się aż o Senat Rządzący⁴¹ w Petersburgu. Orzeczenie znoszące powyższe zarządzenie zapadło, jak zwykle w podobnych wypadkach, po upływie 4–5 lat, gdy – podczas wojny – niemal wszyscy rozjechaliśmy się po świecie. A tymczasem nieprawne zarządzenie władz krępowало niezmiernie każde nasze poczynanie. Nie miałem środków utrzymania, a jednak pracy podjąć się nie mogłem w obawie przykrych konsekwencji. Na moje szczęście, w związku ze wspomnianym zarządzeniem, przysłany został niedawno do Pirowska strażnik, specjalnie do dozoru zesłańców, których w naszej wsi mieszkało wtedy przeszło pięćdziesięciu. Zjawienie się strażnika było przyjęte przez nas, jako przykra zapowiedź dalszych represji. Rychło okazało się jednak, że strażnik wcale nie był tak straszny jak z powierzchowności wyglądał. Fizjonomię

⁴¹ Senat Rządzący – ówczesny najwyższy organ sądowy w Rosji – przyp. red.

miął groźną, zwłaszcza gdy w wielkiej papasze, w majestacie władzy, kroczył ulicą. Ale w gruncie rzeczy był to człowiek ludzki, Polak z Warszawy, ekskonduktor Kolei Nadwiślańskiej. Służbę strażnika traktował powierzchownie, uważając za przejściowe zrządzenie losu, do czasu znalezienia lepszego kawałka chleba, którego w kraju dostać nie mógł. Szykan żadnych zesłańcom nie robił, do mieszkań naszych służbowo nie zaglądał, „wykroczeń” naszych nie widział. Komu mógł, służył pomocą. Mnie poradził, abym przesłał do inspektora (naczelnik policji powiatowej) w Jenisejsku podanie o pozwolenie na wyjazd paromiesięczny na posiołki. Dopóki pozwolenie nie nadejdzie, mogę wyjechać pod warunkiem, abym w każdą niedzielę był w Pirowsku, bo przystaw z Białej zwykle tego dnia przyjeżdżał na inspekcję. W razie zapytania, obiecał zaświadczyć, że cały tydzień nie opuszczałem Pirowska. Tak też i zrobiłem. Wyjeżdżałem z domu w poniedziałki do dnia, a w sobotę konno wracałem do Pirowska. Przez całe sześć dni w tygodniu byłem nieobecny. Zezwolenie inspektora przyszło, jak było do przewidzenia, jesienią, gdy sezon prac ziemnych się skończył.

Wczesną wiosną rozpocząłem kopanie studzien. „Mieszkanie” dostałem w pustym spichrzu starosty wioskowego. Był to stosunkowo zamożny Tatarzyn. Swego czasu, za młodu, miał nawet dwie żony. Ale wkrótce się mu znudziły. Dał im rozwód. I odtąd młodym Tatarzyńcom, chcącym pojąć więcej, niż jedną żonę, radził praktycznie: „Ty lepiej wykarm dwa sobaka, a nie bierz w dom dwa żona”. Wprawdzie dwie jego żony, jak opowiadał, żyły sobie w najlepszej zgodzie, zazdrości nie znały i wzajemnie się nie obmawiały, jednak miły małżonek długo ich cierpieć nie mógł. Widocznie taką już miał naturę. Obecna jego żona, ósma lub dziewiąta z rzędu, była, według mego zdania, dobrą kobietą: cicha, spokojna, pracowita i przystojna – a jednak często ją bił i pozwalał najstarszemu swemu synowi bić ją także. Niejednokrotnie też powtarzał, że dałby jej rozwód, żał mu jedynie małego synka, czteroletniego Fajndrachmana. Chłopiec był rzeczywiście rozkosznym dzieckiem, a swą matkę kochał nad wyraz. Na moje pytanie, jaki los spotka „rozwiedzioną” żonę, Tatar objaśniał mnie: „pojedzie do swej rodziny, do braci, a ci wydadzą ją, za jakiś czas znowu za męża”.

Jednym słowem, żona u Tatarów nie jest niczym innym jeno zwykłą wyrobnicą, którą przyjmuje się do pracy na czas nieokreślony i zwalnia bez wypowiedzenia; jest przy tym obowiązkowo nałożni-

cą swego gospodarza. Majątek i dzieci należą do mężczyzny. Za siłę roboczą należy przy nabyciu, względnie wynajęciu, poprzedniemu właścicielowi, tzn. rodzicom lub opiekunom, zapłacić tzw. „kałym”. Zwyczaj płacenia kałemu przejęli czałdoni syberyjscy. Za dziewczynę płacą rodzicom panny młodej zwykle tyle, co wynosi cena krowy, tj. 40–60 rubli, przy czym w rachubę wchodzi przede wszystkim wartość siły roboczej: za silną, pracowitą, skrzętną, czyli „robotną” dziewczynę – więcej, za leniucha – mniej. Uroda lub afekt roli nie grają. Czałdoni wyposażają swe córki wychodzące za mąż. Przed ślubem rodzice panny młodej i pana młodego umawiają się, jaką wartość posiada skromny zazwyczaj przyodziewek, otrzymany przez nią, jako posąg i ile ma kosztować ucztę weselną, wyprawioną przez rodziców kandydata na męża, przy czym obie wartości powinny się równoważyć. Młoda para już od wieczora dnia poprzedniego jest faktycznie małżeństwem, tymczasowo nieślubnym. Wieczorem na „wieczorynce” lub wprost na ulicy, młodzi ludzie umawiają się, idą razem do domu młodego, który oznajmia rodzinie:

– Przyprowadziłem (...), tzn. narzeczoną.

Bez jakichkolwiek ceregieli kładą się spać obok siebie, jak zwykle na podłodze w ubraniu, a nazajutrz cała wieś opowiada: wczorajszej nocy Paranka Jermołajewna uciekła do Miszki Ławrentiewicza, Anna Dawidowna uciekła do Jegorki Aleksiejewicza. Rodzice młodego udają się z butelką wódki do rodziców panny i zaczynają się pertraktacje o kałym i ucztę weselną, która za kilka dni ma się odbyć po ślubie cerkiewnym. Ślub trwa długo. Młodzi stoją z minami obojętnymi, „czarfierzy” (drużbowie) trzymają nad ich głowami blaszane korony, pop śpiewa różne sentencje i pouczenia, na przykład: „A żona winna bać się męża swojego”.

Publika zachowuje się bezceremonialnie. Słychać swawolne dowcipy, śmiechy. Po skończonej ceremonii cerkiewnej zaczyna się w domu pana młodego (raczej jego rodziców) pijatyka. Przyjaciółki panny młodej szykują kąpiel, czyli rozpalają ogień w łaźni domowej. Gdy łaźnia się dostatecznie nagrzej, nowożeńcy udają się tam na „pierwszą” noc poślubną. Pościeli naturalnie w łaźni nie ma, jest jeno podłoga, szerokie ławy do leżenia i naczynia do wody. Pobyt jakiś czas w łaźni sam-na-sam z żoną, pan młody wraca do chaty, a druhny przyprowadzają młodą mężatkę. Zdarzyło się raz, że druhny wpadły do izby z piskiem i krzykiem:

– Paranka była dziewicą!

Kobiety biegną do łaźni sprawdzić, mężczyźni – za nimi. Zaspokoiwszy swą ciekawość i wątpliwości, kobiety podnoszą Parankę, wkładają na nią koszulę i resztę ubrania i przy wiwatach prowadzą do izby. Stary Ławrentij nie posiada się z radości. Ściska Parankę, całuje:

– Moja ty kochana! Moja synowa! Dziewica! Patrzenie, przyjaciele! Wypijmy!

I piją, i weselą się.

W ciągu mego czteroletniego pobytu w Pirowsku wiele dziewczyn wyszło za mąż. Ale Paranka Jermołajewna była jedna jedyna! Miała 17 czy 18 lat.

12. Śmiertelność wśród dzieci. Rola kobiet

Tow. Niemczynow pochodził z Irkucka, był zatem Sybirakiem i znał dobrze czajdonów. Z zawodu felczer, niechętnie zajmował się leczeniem chłopów, bo wiedział, że mieszkańcy wsi syberyjskich więcej wierzą w znachorów niż w pomoc lekarską.

W każdej wsi znajduje się jakiś szaman⁴² lub szeptucha⁴³, którzy umieją zamawiać choroby. Taki uzdrowiciel poszepce przy chorym jakieś niezrozumiałe zaklęcia, każe choremu wypić lub, jeśli małe dziecko pić nie może, wlać w gardło wódki, czasem czystej, czasem z pieprzem, a czasem dla odmiany z pieprzem tureckim, i po jakiś czasie chory wyzdrowieje. Jeśli się zdarzy, że choroba okazała się silniejsza niż organizm i chory umrze, to jest to w pojęciu chłopskim najlepszy znak, że Bóg tak chciał.

– Robiliśmy – powiadają czajdonie – co można: i szamanili, i wódkę z pieprzem dawali. Nic nie pomogło. Widać taka wola boska! Bóg stworzył, Bóg i zabrał!

Wobec takiej filozofii pomoc lekarska jest zbyt cenna, a higiena i medycyna zastosowania u czajdonów nie mają. Toteż śmiertelność wśród dzieci jest ogromna. Ale kto w dzieciństwie wykaże odporność, ten długo żyć będzie: słabe dzieci wymierają, pozostają przy życiu tylko silne, żelazne, nie do złamania organizmy.

Spotyka się na Syberii, jak wszędzie, małżeństwa bezdzietne, ale z drugiej strony, jest tam więcej niż w innych krajach kobiet mo-

⁴² Szaman-znachor, czarodziej, kapłan u wyznawców szamanizmu np. u Tunguzów. Stąd wyraz szamanic znaczy zajmować się znachorstwem, leczeniem, zamawianiem chorób.

⁴³ Szeptuch lub szeptucha – ten, kto umie szeptać zaklęcia, „zamawiać” choroby, rzucać urok, czarować.

gących się poszczycić, jako matki kilkanaściorga dzieci, z których przeważna część umarła w pierwszych latach życia. W samym tylko Pirowsku, liczącym około 180 gospodarstw z 1 000 mieszkańców, można było naliczyć wiele takich płodnych kobiet. Przytoczę parę przykładów: Sonia Griszyna⁴⁴ miała 12 synów, z których wychowało się tylko dwóch: Maksim i Nikonor. Jej sąsiadka Fiołka Pudówna, żona Ławrentja, urodziła 23 dzieci, z których żyło tylko troje. A któż zliczy te kobiety, którym „Bóg dał i wkrótce zabrał” po sześcioro lub ośmioro dzieci?!

Rola kobiet wiejskich jest wszędzie ciężka, ale o ile jest cięższa dola czałdonek! Chłop nie rozumie, że kobieta jest słabsza i delikatniejsza od mężczyzny i wymaga od niej nadludzkich wysiłków. Choć czałdonka wstaje do wyrabiania ciasta i pieczenia chleba⁴⁵ o północy, bez przerwy pracuje w gospodarstwie cały dzień do późnego wieczora, kosi trawę lub młóci zboże – wszystko to mało! Zawsze zostaje wiele roboty nie zrobionej i czałdon wymyśla babie, każe wstawać jeszcze wcześniej, a nierzadko i pięścią poczęstuje.

Wprawdzie nie można powiedzieć, aby bicie żon było u czałdonów objawem częstym, ale niezaprzeczenie się zdarza. Natomiast złe, brutalne traktowanie kobiet, jako istoty niższe, jest na porządku dziennym. W szczególności daje się to zauważyć, gdy kobieta pracować nie może, gdy jest chora, bliska rozwiązania. Połóg uważany jest przez czałdonów za jakiś akt nieczysty, ohydny. Połogu nie wolno odbywać w izbie. Precz z chaty! Na dwór! Do bani!

Dopóki może, kobieta pracuje. Dopiero w ostatniej chwili udaje się do lamusa lub do bani, do sąsieku z sianem albo do chlewa i tam dziecko przychodzi na świat. I zaraz po obmyciu się w bani i wykąpaniu dziecka wraca do izby.

Młoda Harieta Filipowna żaliła się, że niedobra świekra wypędzała ją w krytycznej chwili wręcz do stajenki dla owiec, gdzie było i brudno, i ciemno. Rodziła klęcząc na garści słomy. Jednemu dziecku słomka wykuła oczko.

⁴⁴ Grisza – zdrobniałe od Grigorij, czyli Grzegorz. Griszyna znaczy żona Griszy. Sonia – zdrobniałe od Sofia, Zofia.

⁴⁵ Czałdoni karmią się prawie wyłącznie chlebem i przeto w każdej chacie gospodyni piecze chleb co dzień nad ranem. Trzeba przyznać, że czałdonki są mistrzyniami w pieczeniu chleba i ciasta; chleb pieką zazwyczaj bardzo smaczny.

Generalicha⁴⁶ opowiadała mojej żonie, że będąc w ciąży, musiała jechać w pole grabić siano. Wzięła z sobą syna wyrostka. Długo grabiła siano, stawiała kopy. W bliskości nie było nikogo. Chłopi kosili w innych stronach. Do wsi – 8 wiorst. Na noc wracać nie można, czasu szkoda. Taki już zresztą zwyczaj na Syberii, że do pracy wyjeżdżają na cały tydzień, bo pola orne czy łąki zazwyczaj są oddalone o kilka, kilkanaście, a niekiedy i kilkadziesiąt, do 50-ciu wiorst od wsi. Tam w polu lub w lesie stawiają szałas z trawy lub nawet małą chatenkę tzw. zaimkę i tam nocują aż do soboty lub zakończenia roboty.

Generalicha z synem poszła spać do chatenki, która stała w bliskości. W nocy poczuła bóle. Urodziła się córeczka. Wyrostek uwijał się. Ale co chłopak w takich razach może?! Ani naczyni, ani szmat na pieluszki, ani nożyczek, ani nawet noża nie było⁴⁷. Radzić sobie trzeba! Była kosa. Obcięto kosą...

O świecie chłopak nałożył siana w jednokółkę⁴⁸ i powiózł matkę z dzieckiem do domu po wyboistej drodze. Dziecko, któremu dano imię Własa, wyrosło na ładną dziewczuszkę o dużych, czarnych oczach. W 1913 roku miała około 9 lat.

Żona Artemja, wnuka Soni, o której wyżej wspomniałem, młoda Agafja, przystojna, miła kobiecina, pochowała już troje dzieci. Spodziewała się czwartego. Było lato. Masa roboty przy koszeniu i zbieraniu siana. Rąk roboczych mało. A Agafja słynęła jako niezrównana „kopistka”. Można było być pewnym, że postawiona przez Agafję kopa siana lub stóg nie przewróci się od wiatru, nie zamoknie od deszczu. Agafja chciała zostać w domu, ale stary Grisza, głowa domu, a także Maksim, ojciec Artemja, kazali jechać do pracy. Próżne były prośby Agafji, na próżno wstawiał się za żoną Artemij. Siano ważniejsze!

⁴⁶ Generalichą, czyli żoną jenerała, przezywano wdowę po zesłańcu kryminalnym nazwiskiem Generałow. Dziewczynka Własa, o której mowa, urodziła się po śmierci ojca.

⁴⁷ Czałdoni, w szczególności północni starają się obywać bez wyrobów rzemieślniczych i fabrycznych, które zmuszeni są nabywać za pieniądze i z tego względu na cały dom jest zwykle tylko jeden, jedyny duży, masywny nóż dla użytku całej rodziny. Tym nożem i drzazgi łupią, i świnię zabijają, i chleb i produkty spożywcze krają, i paznokcie obcinają, a nawet czałdonki uzbrojone w ten sam nóż urządzają polowania... we włosach dzieci i przyjaciółek.

⁴⁸ Jednokółka – bieda na dwóch kołach. Z powodu złych dróg i małych, słabych koni północni czałdoni używają tylko takie biedy.

Agafja pojechała. Cały dzień pracowała, stawiała kopy. Pod wieczór Maksim kazał stawiać siano w stóg. Agafja, stojąc na stogu, przyjmowała siano, podawane z dołu widłami. Nareszcie ułożyła ostatnią szychtę i przymocowała ją gałęziami. Stóg gotów! Ale Agafja nie może już zejść na ziemię... Mąż z ojcem musieli ją znieść ostrożnie. Posłano galopem po „babkę”...

Gdy się urodziła córeczka, zawieziono Agafję z dzieckiem do domu. W kilka miesięcy później dziecko zmarło na ospę.

13. Ospa. Ucieczka tow. Niemczynowa

Jaką jest ospa straszną chorobą, Europejczycy już prawie pojęcia nie mają. Niestety, poznałem ją. Moje własne dziecko, jedyny mój syn, gdy miał pięć miesięcy, zachorował na ospę. Z wieczora dostał gorączki, a już rano myśleliśmy, że kona. Matka czym prędzej spryskała go wodą, ochrzciła na katolika.

Środków leczniczych przeciwko ospie nie było żadnych. Dobrzy ludzie poradzili, co było robić. Dzięki im za to!

Zastłoniliśmy okiennice, szczelnie zastłonili drzwi i okna, aby światło dzienne nie dostało się do pokoju, gdzie leżało chore dziecko. Świeciliśmy lampę zastloniętą czerwonym abażurem. Temperatura w pokoju powinna była ciągle być wysoka, ponad 20°R. Kilka razy dziennie zmywaliśmy dziecko wódką, a do buzi leli wódkę po łyżeczce. Pojenie wódką miało zapobiegać tworzeniu się pęcherzyków ospowych na wnętrznościach, na kiszkiach; zawdzięczając obmywaniu, krosty prędzej zasychały.

Oczy dziecko miało zalepione ospą. Leżało bez ruchu, nie płakało, nie piszczało nawet. Żył jeszcze, bo ciało było rozpalone gorączką.

Temperaturę w pokoju utrzymywaliśmy wciąż wysoką. Pieca nie było, bo mieszkaliśmy w nowo wybudowanym domu, na którego wykończenie gospodarzowi nie starczyło pieniędzy. Mieliśmy tylko piecyk blaszany. Bez przerw dokładaliśmy drewna na ogień. W nocy na zmianę z żoną czuwaliśmy, na zmianę kładli się na łóżku w ubraniu, aby się trochę przespać.

Dnie płynęły za dniami, noce za nocami. Przeszły tak dwa tygodnie. Czuliśmy nadzwyczajne zmęczenie. Źle się odżywiali, mało spali. Sił nie starczało, byliśmy wycieńczeni. Położyłem się spać, żona czuwała. Nałożyła drewno do piecyka, uklękła przy łóżeczku dziecka. Zdrzemnęła się. Ogień się wypalił, w stancji zrobiło się zimno. Ocknęliśmy się, zerwali na nogi. Nie rzekliśmy do siebie ani słowa. Ro-

zumieliśmy, jaka się rzecz stała okropna. Bez wątpienia dziecko się zaziębiło. Na próżno dotychczasowe starania. Ratunku już nie ma. Dziecko żyć nie będzie. Robiło się straszno!

Czym prędzej rozpaliliśmy ogień. Za chwilę gorąco było w stancji, jak w łaźni. Dziecko żyło. W parę dni potem pierwszy raz podczas choroby zakwiliło. To była dla rodziców prawdziwa radość. Kryzys! Przesilenie! Żyć będzie!

Po troszku gorączka się zmniejszała, strupy odpadały, dziecko oczka otworzyło. Przetrzymało tak straszną chorobę.

Czałdońskie dzieci, jeśli zachorują na ospę, zazwyczaj umierają, bo nie mają tak troskliwej opieki. Jednakże nie można powiedzieć, że ospa grasuje często i pochłania dużo ofiar. Ospę na Syberii szczepią dzieciom, podobnie jak i w Europie z tą tylko różnicą, że okazja szczepienia zdarza się na wsi rzadko, niejednokrotnie raz na kilka lat. Powiatowy felczer ze szczepionką objeżdża wsie dopiero wtedy, gdy lokalne władze robią alarm z powodu rozszerzenia się epidemii.

Właśnie w tym czasie, gdy mój synek zachorował, przyjechała do Pirowska felczerka ze szczepionką. Podczas mego czteroletniego zamieszkiwania w Pirowsku zdarzyło się to prawdopodobnie jedyny raz. Przynajmniej ja o drugim takim wypadku nie słyszałem. A przyjazd do wsi lekarza lub felczera był przecież ważnym wydarzeniem.

Najbliższy lekarz mieszkał o 75 wiorst w Kozacz⁴⁹ nad Jenisem. Było tam ambulatorium i szpital. Lekarz z Kozacz⁴⁹ przyjeżdżał do Pirowska co kilka miesięcy, przywoził z sobą apteczkę, leczył i dawał lekarstwa za darmo. Naturalnie taka dorywcza pomoc lekarska rzadko bywała skuteczna z wyjątkiem jedynie sporadycznych wypadków chronicznych chorób. W przerwach między wizytami lekarza czałdonie mogli uciekać się tylko do znachorów, których gusa w razie silnej komplikacji chorego bywały skuteczniejsze, niż dorywcze leczenie lekarza.

Po trochu pod względem pomocy lekarskiej sytuacja na Syberii zmieniała się na lepsze. Między politycznymi zesłańcami znajdowali się lekarze, felczerzy i aptekarze, którzy – acz nielegalnie – udzielali porad lekarskich, choć naturalnie rzadko z dodatnim skutkiem z powodu braku środków leczniczych, które trzeba było sprowadzać z dalekich aptek.

⁴⁹ Sióło Kozaczyńskoje, liczące około 2 tysięcy mieszkańców.

Tow. Niemczynow, jak wspomniałem, nie zajmował się leczeniem, bo widocznie do swego fachu zamiłowania nie miał. Ale zdarzało się nieraz, że się zwracano do niego o poradę i pomoc.

Pewnego razu wieczorem, gdy tow. Niemczynow był akurat u mnie na herbacie, wpada sąsiadka z prośbą:

– Wasilij Zosimowicz! Ratuj! Moja Taisja umiera! Serce ją strasznie boli. Nie przetrzyma! Z bólu nieprzytomna! Leży na ziemi.

Żal mi się zrobiło i Taisji, kilkunastoletniej dziewczyny, i jej matki. Tow. Wasilij z zimną krwią obiecał pójść zobaczyć chorą po herbacie, a tymczasem kazał, aby chora spokojnie leżała na brzuchu. Znał dobrze cząłdonów. Wiedział z czego Taisję „serce” boli. Objął mnie, że sercem cząłdonie nazywają brzuch i żołądek, bólem serca – gnienienie w żołądku, bóle w brzuchu. Taisja objadła się w lesie niedojrzałych porzeczek i stąd pochodziła jej „sercowa” choroba.

Podczas choroby mego dziecka na ospę tow. Niemczynowa nie było już w Pirowsku. Uciekł szczęśliwie do Ameryki.

Uciekał dwa razy. Pierwsza ucieczka się nie udała. Wyjechał w nocy podczas zamieci śnieżnej w największej tajemnicy, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności. Ale po przejechaniu zaledwie 80 wiorst przypadkowo natknął się na popasie na policjanta, który go z miejsca aresztował, poznawszy w nim zesłańca politycznego. Na próżno tow. Wasilij twierdził, że jest oficjalistą jensejskich kopalni złota, na dowód czego okazał fałszywy paszport, na próżno groził skargą do władz za bezpodstawną jakoby, a tak straszną zniewagę, jaką jest aresztowanie „pełnoprawnego” człowieka pod zarzutem, że jest pozbawionym praw zesłańcem. Był aresztowany. Wnet ni stąd, ni zowąd znaleźli się obok tow. Wasilija nie wołani przez policjanta dwaj cząłdoni z blachami na piersiach, sołtys i dziesiętnik⁵⁰, z kijami w rękach, i nie odstępowali go ani na chwilę. Na noc zamknięto go w oddzielnej izbie, pode drzwiami której warował chłop z kijem. Na drugi dzień policjant, który – jak się okazało – przyjechał do tej wsi z wizytą na czyjeś wesele, miał zamiar zawieźć tow. Niemczynowa do Kozacznej i oddać w ręce komisarza policji. Próżne były znowu żądania tow. Wasilija, aby go puścił, próżne przedkładania i groźby. Poskutkowało nareszcie... łapówka w wysokości dwadzieścia pięć rubli!

Tow. Wasilij pojechał dalej. Omijając Krasnojarsk, wsiadł do pociągu na małej stacyjce i szczęśliwie dotarł do Czelabińska. Tutaj,

⁵⁰ Sołtys (setnik) i dziesiętnik podczas pełnienia urzędowych funkcji zawieszali na piersiach mosiężne owalne blaszki z odpowiednimi napisami.

gdy wysiadał z wagonu, aby się przesiąść do innego pociągu, został otoczony przez żandarmów i aresztowany. Wytoczono mu proces o ucieczkę z zesłania do Rosji Europejskiej, ponieważ Czelabińsk pod względem administracyjnym należał do Rosji⁵¹, chociaż pod względem geograficznym leży po syberyjskiej stronie Uralu.

Za ucieczkę z Syberii do Rosji Europejskiej zesłańcowi groziła kara trzech lat katorgi oraz dożywotniego osiedlenia między Jakutami. W razie zaś aresztowania w obrębie Syberii, względnie azjatyckich posiadłości rosyjskich, zesłańca po przetrzymaniu jakiś czas w więzieniu odsyłano etapem z powrotem do miejsca osiedlenia. W wymiarze kary różnica była kolosalna.

Tow. Niemczynow starał się dowieść, że w Czelabińsku znalazł się w przejeździe do Tiumeni, dokąd jechał jakoby dla nawiązania stosunków handlowych z firmami handlującymi skórkami futrzanymi. Na dowód przedstawił wykupiony bilet kolejowy. To go ocaliło. Niespełna rok przewędrował etapem z powrotem do Pirowska, a w jakiś czas potem powtórnie uciekł, ale tym razem przez Mandżurię i Japonię do Ameryki.

Podobnie jak tow. Wasilij, wielu zesłańców politycznych uciekło z wyznaczonych im miejsc osiedlenia: niektórzy – do innych miejscowości syberyjskich, gdzie mogli otrzymać jakieś zarobkowe zajęcie, np. na kolei żelaznej, niektórzy zaś – do Rosji i za granicę.

14. Św. Zosima

Tow. Niemczynow z „otczestwa”, czyli z imienia ojca zwał się Zosimowicz. W Polsce nie słyszałem takiego imienia. Na moje zapytanie tow. Niemczynow objaśnił mnie, że u prawosławnych jest św. Zosima. Zresztą on sam, tow. Wasilij Zosimowicz, znał św. Zosimę, wprawdzie nie tego świętego patrona jego ojca, ale innego, żywego w więzieniu w Jekaterynburgu. I nieraz chciał z nim rozmawiać, ale Zosima nie odpowiadał. Nie był wprawdzie niemową, ale nie mówił.

I dziwić się nie ma czego, że nie mówił. Był to przecież niezwykle człowiek. Uważano go powszechnie za świętego. Gdy został aresztowany pod zarzutem morderstwa, jego aureola świętości się nie zmniejszyła! Nawet, pomimo że sąd skazał go na dwadzieścia lat katorgi, w opinii publicznej pozostał zawsze świętym, a sąd uważany był za jakieś złośliwe zrządzenie szatana, wyrok zaś – za straszną omyłkę.

⁵¹ Był miastem powiatowym Orenburskiej guberni.

Nie tylko przed sprawą sądową, ale i po wyroku nauczycielki przyprowadzały dzieci szkolne do więzienia, aby ucałowały rękę świętego Zosimy i otrzymały od niego błogosławieństwo. Przecież podobnie rzadka okazja mogła się w ich życiu więcej nie zdarzyć! Móc ucałować rękę świętego mnicha, pustelnika – szczęście to nie-małe! Ludzi świętych w terażniejszych czasach powszechnego zepsucia nie spotyka się często. A że pustelnik Zosima był święty człowiek, w to wierzyli wszyscy, to wszyscy mówili.

Kto pierwszy nazwał go świętym, na próżno dociekać! Wieść o świętym pustelniku rozniosła się po szerokiej okolicy, skoro tylko osiedlił się w pustelni. Skąd się wziął, kim był, nikt nie dociekał. Dopiero sędzia śledczy starał się rozwiązać zagadkę i przyszedł do przekonania, że mnich Zosima z zawodu był prawdopodobnie lekarzem, a w każdym bądź razie, że był to człowiek bardzo wykształcony, władający kilkoma cudzoziemskimi językami.

Dla tłumów wystarczała wiara, że Zosima jest święty pustelnik. Pątnicy chodzili do lasu, gdzie stała pustelnia, niczym u nas na Jasną Górę. W szczególności kobiety w swych strapieniach szukały rady, pociechy i ukojenia w pustelni świętego mnicha. Z wiarą i ufnością odkrywały przed świętobliwym pustelnikiem swe dusze, wyjawiały najskrytsze myśli, opowiadały o swych dolegliwościach i pragnieniach. Otrzymały nauki, rady, wskazówki, błogosławieństwa. Zbudowane, pokrzepione na duchu, rade, zadowolone wracały z pustelni. Może nie wszystkie!... Może niejedna nie wróciła! Faktem niezbitym okazało się, że pewna młoda mężatka, która udała się do Zosimy szukać rady czy pociechy, więcej do domu nie wróciła.

Mąż wszczął poszukiwania. Policja odkopła w bliskości pustelni trupa zaginionej. Obdukcja zwłok wykazała, że była zgwałcona i zabita.

Mnicha Zosimę aresztowano. Cóż robić?! Takie już teraz na tym padole czasy nastały, że policjant i sędzia nie szanuje nawet sukienki zakonnej!

Zosima z pokorą, którą, jako mnich, ślubował, dał się uwięzić. Nie sprzeciwiał się. Ale czy miał odpowiadać przed sędziami ziemskimi, gdy Najwyższy Sędzia w Niebie najlepiej znał jego postęпки i intencje?... Próżne było zadawanie pytań na śledztwie i na sądach. Zosima nie odpowiadał. Milczał ciągle i modlił się do Sędziego w Niebiesiech o sprawiedliwość i miłosierdzie.

Nie zważając na milczenie Zosimy, sąd uznał go winnym gwałtu i morderstwa, i skazał na pozbawienie praw stanu i dwadzieścia lat ciężkich robót w katordze.

Bogobojni prostaczkowie uważali wyrok za straszną niesprawiedliwość i czcili Zosię nadal, jako świętego pustelnika, a wymierzoną mu karę poczytywali za męczeństwo.

Czy naprawdę zasługiwał na cześć i nazwę świętego?

15. Popasy we wsiach. Św. Mikołaj Cudotwórca

Podczas mej tułaczki po Syberii często wstępowałem do Marka Farafontowicza, czałdona w Warakowszczyźnie na trakcie z Pirowska do Kozaczej. Była to moja stała gospoda w tej wsi w ciągu lat kilku.

Domów zajezdnych, karczem czy szynków na Syberii, we wsiach, położonych daleko od kolei żelaznej, w ogóle nie spotykałem. Przyjezdni muszą na popas zatrzymywać się u czałdonów. Popas trwa zwykle 3–4 godziny, gdyż trzeba i samemu się pożywić, i konia nakarmić, i dać mu wypocząć. Zdarza się również, że podróżny zmuszony jest zanocować, bo podróże ze względu na duże przestrzenie syberyjskie rzadko trwają jeden tylko dzień.

Przyjechawszy do wsi, podróżny zatrzymuje się przed chatą, która mu się wydała najodpowiedniejsza i prosi gospodarza o pozwolenie zajechania na podwórze i o gościnę. Nie zawsze gospodarz albo – w razie jego nieobecności – gospodyni wpuszcza nieznanego do swej zagrody. Po drogach włóczą się przecież rozmaici ludzie i mogłoby się zdarzyć, że wpuszczony do domu gość zamiast podziękować i zapłacić za gościnę i jedzenie, ograbiłby gospodarza lub – co gorsza – wymordował domowników. Dlatego podróżny stara się zwykle zawczasu o adres jakiegoś gospodarza we wsi, do której jedzie, aby powołując się na wspólnych znajomych, łatwiej otrzymać gościnę i nie być zmuszonym chodzić od chaty do chaty z prośbą o pozwolenie na popas.

Niejednokrotnie zdarzało się, że odmawiano mi pozwolenia zajechania na podwórze i wejścia do chaty i musiałem popasać na dworze. Czasem zaś, przyjechawszy do nieznanego wsi, prosiłem tylko o pozwolenie zajechania na podwórze i przenocowania pod szopą na wozie, ponieważ byłem przeświadczony, że chłopci nie wpuszczą nieznanego na noc do izby.

Za jedzenie na popasie i za siano dla konia gospodarzowi się płaci według przyjętych cen. Trzeba również uiścić drobną opłatę za za-

miecienie podwórza, na którym konie stały, jak również i za nocleg, to znaczy za kawałek miejsca na podłodze i poduszkę pod głowę.

Pościeli, prócz twardych poduszek z najrozmaitszego, nie wyłączając kurzego pierza, czałdoni nie znają. Spać się kładą na podłodze, nie rozbierając się wcale, w zimie nie zdejmując wcale obuwia, a pod siebie podścielają stare łachy, w najlepszym razie – kawał wojłoku – nakrywają się starym kozuchem.

W chacie jest wprawdzie jedno drewniane łóżko, które stoi zazwyczaj przy drzwiach wejściowych pod połaciami⁵², ale na nim nikt nie sypia, chyba że w razie obłożnej choroby. Łóżko służy przeważnie tylko do składania na dzień poduszek i „pościeli”.

Nie lubiłem spania na podłodze, nie mogłem się nigdy do tego przyzwycząić. Wolałem kłaść się na wąskiej ławie pod ścianą, starając się nie przewracać z boku na bok, aby nie spaść na ziemię. Ławy są na głucho przymocowane do ścian izby. W rogu między oknami przed ławami stoi stół jadalny, nad ławami – półka, tak zwana „bożniczka”, na której stoją obrazy święte, czyli ikony, zwane także bogami.

Ściany izby przeważnie są wybielone białą gliną i wylepione kolorowymi obrazkami. Obrazki na ścianach świadczą, że i czałdoni mają poczucie piękna, dla zaspokojenia którego nie żałują kilku kopiejek na kupienie obrazków. Obraz na dużym arkuszu papieru kosztuje u wędrownych handlarzy 10–20 kopiejek zależnie od treści, koloru i wykonania. Obrazy przedstawiają sceny z życia świeckiego, jak również ilustracje objaśniające ustępy pisma świętego lub dogmaty religijne albo fragmenty z żywotów świętych. Spotykałem na przykład obrazy, przedstawiające zabawy ludowe, wojsko, polowanie, pracę w gospodarstwie wiejskim, skutki pijaństwa, wypędzenie Adama i Ewy z raju, sąd ostateczny, żywot Łazarza itp., itd.

U Marka Farafontowicza wisiał na ścianie duży obraz, przedstawiający żywot, z wielkim pietyzmem czczony przez prawosławnych, św. Mikołaja Cudotwórcy. Pośrodku obrazu był portret świętego, nad nim widok klasztoru Sarowskiego, po rogach sceny z życia, a pod każdą ryciną tekst z objaśnieniami.

Z tego obrazu i tekstu dowiedziałem się, że święty „Nikoła” był mnichem-pustelnikiem klasztoru Sarowskiego, mieszkał w pustelni

⁵² Połacie, po rosyjsku „połati” – szeroka półka pod sufitem, służąca do przechowywania garderoby itp. i do spania w zimie nieraz całej rodziny, taka antresola.

w lesie (podobnie jak niegdyś księża kameduli na Bielanych pod Warszawą), pracował w ogródku, udzielał przybywającym do niego chłopom nauki, rad i pociechy religijnej, modlił się i żył ascetycznie, a dla większego umartwienia w ciągu tysiąca dni przed śmiercią zaprzestał mówić. O jakichkolwiek bądź cudach przez cudotwórcę czynionych wzmianki nie było. Opis żywota świętego Nikoły kończy się niemal dosłownie tymi słowami: „Czy mało, czy dużo dobrego i cudów św. Nikołaj zdziałał w pustelni, wiadomo jednemu tylko Bogu Najwyższemu. Ale pewne jest, że gdy umarł, lud go opłakiwał, a w szczególności płakały monaszki z sąsiedniego klasztoru żeńskiego”.

Jak stary był św. Nikoła, gdy umarł, nie wiem. Ale ten obraz i mianowicie ostatnie zdanie opisu żywota, jak również jego dobrowolne zaniemówienie na trzy lata przed śmiercią przywodziły mi na myśl sprawę „świętego” Zosimy z jekaterynburskiego więzienia. Nie będąc prawosławnym, miałem i mam prawo posądzać pustelnika Nikołę, że w swej pustelni postępował tak samo, jak pustelnik Zosima w swojej, i że obaj mieli jednakowe powody, dlaczego zaniemówili.

W cerkwi w Pirowsku stał drewniany posąg św. Mikołaja naturalnej wielkości z wyłupiastymi oczyma, w wielkiej czapie na głowie. Zrobiony był z jednego kłosa przez jakiegoś domorosłego artystę rzeźbiarza i pomalowany jaskrawymi farbami: czerwoną, niebieską, żółtą i ceglastą. Posąg był tak ciężki, że podczas procesji mógł go nosić tylko bardzo silny chłop, objąwszy w pół oburącz, co wyglądało, jakby niósł drugiego cudacznie umalowanego chłopca. Polityczni zesłańcy drwili z tej parady, a sam posąg nazywali „istukanem”, czyli po prostu bałwanem. I nie można było tego uważać za bluźnierstwo, gdyż kult posągów jest przez cerkiew prawosławną potępiony i słusznie za bałwochwalstwo uważany. Pop wiedział o tym i dlatego nie reagował na szykany bezbożnych polityków, a w razie spodziewanej wizytacji cerkwi przez wyższe władze cerkiewne usuwał posąg świętego do chlewika.



Stefan Dionizy Osuchowski, archiwum rodzinne



Stefan Filemon Osuchowski, archiwum rodzinne



Zofia z Rostkowskich Osuchowska, archiwum rodzinne



Stefan Filemon Osuchowski, zdjęcie więzienne, Archiwum Państwowe m.st. Warszawy, oddział Milanówek, sygn.WRG Ref.II.261909